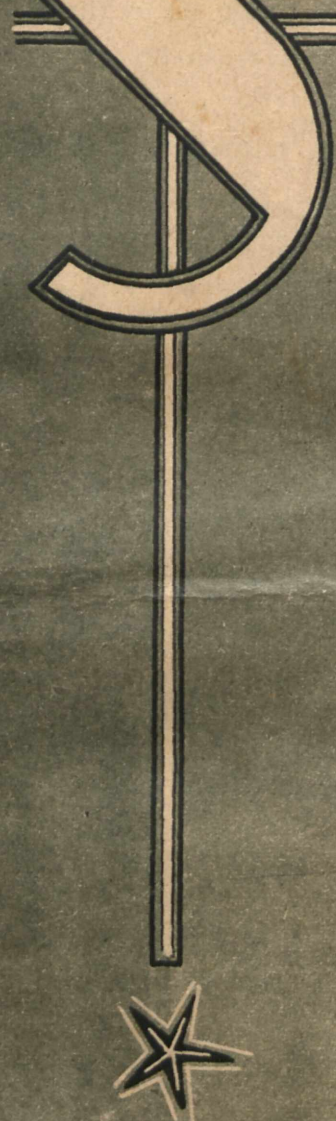


W. GAMBOL

STER



KRAKÓW * ROK II * NR. 3
L I S T O P A D * 1941

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

NASZ DOM

Na ulicy Starowiślnej stoi dom. Takich domów jest dużo w mieście. Gdy słońce świeci, jego ściany odbijają słoneczny blask. W oknach domu iskrzą się szyby, jak młode radosne oczy. Wtedy wesoło jest w mieście. A gdy chmury zasłonią niebo, ściany domu są szare i ponure. Ciemne okna patrzą, jak oczy bardzo

pomaga przy maglowaniu, zwija wálki, kręci ciężką korbą. Pani Pelagia rzadko cieszy się smugą słonecznego blasku, jaśniejącą na podłodze. Za to jej córka, Basia, czyha na każdy promyczek słońca w maglowej izbie i często wybiega za nim na dwór.

Spoza drzwi sklepu wygląda niekiedy mały Paweł. Pawełek jest sy-



zmęczonych starców. Wtedy smutno robi się na świecie.

W każdym domu mieszkają ludzie. Przez okna domu słońce zagląda do mieszkań, jednak nie wszyscy ludzie odpowiadają na piękny uśmiech słońca.

W suterynie naszego domu mieszka pani Pelagia Kmicik. Ma ona magle i od rana do późnego wieczora

nem sklepikarza. Gdy wraca ze szkoły bawi się czasem z Basią. Wtedy przywołują głośnie Julcię.

Julcia mieszka na pierwszym piętrze. Jej ojciec jest robotnikiem i pracuje w fabryce maszyn rolniczych. Prawie przez cały dzień ojca Julci nie ma w domu. Matka Julci dawno umarła, więc też Julcia w chwilach wolnych od zajęć szkolnych zajmuje

się gospodarstwem. Gdy ojciec wraca mieszkanie jest już czysto uprzątnięte, a na kominie perkocze w garnku wieczorny posiłek. Toteż Julcia rzadko ma czas na zabawy i radowanie się słońcem. Ale za to w serduszku Julci jasno goreje słońce.

Na poddaszu mieszka wdowa, pani Jędrzejowa. Pani Jędrzejowa jest krawcową i cały dzień szyje. Mały Jasio jest jej synkiem. Ma dopiero

trzy latka. Nieraz Jasio przez okno przygląda się zabawom Basi i Pawelka. Wtedy śmieje się głośno i klaszcze wesoło w rączyny.

Gdy zapada noc, cisza zalega dom. Ustają okrzyki dzieci, ich zabawy i biegania. A i dorośli odpoczywają, by następnego dnia rozpocząć znów pracę, gdy słońce zbudzi ludzi do życia i czynu.

b.



Co to było huku, wrzawy, jaki rwetes, co biegania, kiedy z mamą do Warszawy miała jechać mała Ania! Pakowała swoje lalki i książeczkę z obrazkami, żegnała się z szarym Burkiem, kureczkami i pieskami. Popielaty Miś w kąciku siedział bardzo tym zmartwiony, a kanarek na druciku śpiewał smutne, cienkie tony. Śmiał się tylko jej braciszek, wielki łobuz nicpoń Zdziszek.

— Co tam jazda! Nic ważnego!

— A widziałeś coś takiego? Kamienice aż pod chmury, wieże wielkie jakby góry!

— A ty skąd wiesz, moja mała?

— Mama mi opowiadała.

— No, więc jedź już wobec tego i przywieź mi coś ładnego.

Co za jazda wyśmienita! Pociąg huczy, pędzi, zgrzyta. Pola tylko się

migają, drzewa z drogi uciekają. Wielki smok lokomotywy sapie, jakby ledwo żywy. Ania z mamą są w wagonie.

— Mamuś, czy go ciągną konie? Kto ten pociąg tak rozpędził? Może się wywróci w pędzie?

— Nic się nie bój! Tam na przędzie maszynista w środku jedzie. On już troszczy się niemało, aby nam się nic nie stało.

A tymczasem wąż wagonów sunie jasno oświetlony.

— Prędey!... Prędey!... — kółka proszą i jak skrzydła pociąg niosą.

— Ci-cho tam, ci-cho tam, du-żo cza-su jesz-cze mam... Do-jeż-dża-my do-jeżdżamy... już War-szawę... blisko mamy... U! — U! — U! — już jest tu...

Patrzy Aniulka. Miasto czeka, światła świecą się z daleka. Las kominów! Ulic sznury! Smukłe wieże, aż pod chmury!

Ania nie wie, co się stało. Wielkie miasto ją porwało. Tutaj tramwaj mknie czerwony, niczym indyk rozżony. Tam światła w różne kolory, w kropki, w paski i we wzory. Tu sklepy, wystawy, istna zabawa! Tu samochód malowany pędzi tak, jak zwariowany. Ludzi tłumy, huk i wrzawa — oto jest miasto Warszawa.

Wszystkie cuda, wrażeń rzesza, w główce się już Ani miesza. Ale w jeden dzień, wczesno rano, poszła Ania razem z mamą.

— Dziś ujrzymy same czary, chodźmy więc na Rynek Stary.

Ania stoi, w rączki klaska na cuda Starego Miasta. Wokół ptactwa tłum srebrzysty wznosi się w smudze świetlistej. Wkoło Ani rój gołębi grucha, wiruje się, kłębi. A wokoło tego placu stoją domki, jak pałace. Malowane kamienice, wąskie, małe okiennice; wielkie bramy pochylone, jak staruszki przygarbione.

— Czy to są prawdziwe ściany, czy na kartkach malowane? — pyta mamy Ania mała, aż się matka rozśmiała.

— Nie dziecinko. To nie baśnie. Tu mieszkają ludzie właśnie, lecz z każdego kąta wieje przeszłość, stare, dawne dzieje. Tutaj — mówi cicho mama — mieszkała księżniczka sama. Przędła jedwab na krościenku, umiała czas piosenką i przez okno rączką małą, ziarenka ptaszkom rzucała. A tam mieszkał pełen chwały rycerz dzielny i wspaniały. W tamtym domu, z lewej strony, mieszkał stary pan, uczony.

Ania słucha, w główce mieści te stare, piękne powieści. Stare Miasto jest jak księga, która dawnych czasów sięga. Każdy dom, jak jedna karta ciekawa i dla wszystkich otwarta...

Po tygodniu Ania z mamą wraca znów drogą tą samą. Co to było opowieści, na tych kartkach się nie zmieści! O tramwajach, kamienicach, pięknych szerokich ulicach...

Żdziszek słuchał i Miś słuchał, aż się łapą drapał w ucho.

C. J.



CZARNY PRZYJACIEL JÓZKA

Józek wychowuje kruka. Przyniósł go raz z ogrodu. Kruk to takie czarne, niezgrabne ptaszysko. Ale Józek lubi go bardzo. Całymi godzinami przygląda się, jak kruk czyści sobie pióra, jak układa się spać, jak je. A kruk zupełnie się oswoił. Kiedy Józek odrabia lekcje przy oknie, które jest tak wysoko, że widać z niego tylko dachy i dachy, kruk dziobie mu stalówkę, albo pakuje łapę do kałamarza. Co dzień rano budzi go krakaniem.

Pewnego dnia kruk zniknął. Przez uchylone okno wymknął się na szczyt szerokiego dachu, a potem spuścił się nagle na rozpostartych skrzydłach w głąb jasnego, pełnego okien podwórza. Tam przysiadł na gałęzi klonu, nad małym zielonym ogródkiem.

Na tym samym klonie gromada wróbli wyczekiwała na jaglaną kaszę, pilnie przyglądając się oknom i świergocąc przez cały dzień. Na widok kruka wszystkie wróble z wielkim oburzeniem wyniosły się na najwyższe gzymsy kamienicy.

Kruk jednak nie zamierzał nic złego. Kiwając się na cienkiej gałązce rozglądał się dookoła.

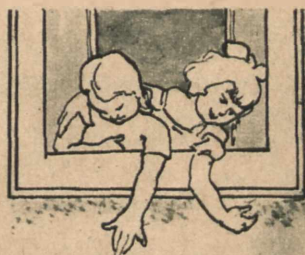
Woknie oświetlonym słońcem widać dwie wymyte buzie z ciemnymi grzywkami. To Krysia i Zosia wyglądają na podwórko, chcąc widzieć jak mamusia będzie wracała do domu. Zosia pierwsza zauważyła nieznanego ptaka.

— Widzisz, jaki czarny gołąb? — powiedziała do Krysi.

— To nie gołąb — odpowiedziała Krysia. — To wrona.

— Jaka duża. Jaka czarna — dziwiły się dziewczynki.

A kruk przechyliwszy głowę, przysłuchiwał się



gwarowi podwórka. Z dołu dochodziła go wesoła rozmowa. To szewc Jan siedział z Wojtkiem przy otwartym oknie. Obydwaj pochyleni na niskich stołeczkach przybijali jasne zelówki do czarnych, zniszczonych butów.

Wtem usłyszeli szelest na oknie i na stolik, pokryty skórą i gwoździami, wskoczył czarny ptak. Majster wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Wojtek chciał schwytać kruka, ale majster przytrzymał go za rękaw.

— Daj mu spokój! — rzekł. — To jakiś oswojony ptak. Co go będziesz straszył.

I kruk spacerował po stole tarmosił kawałki skór, a potem wlaź do pudełka z gwoździami i zaczął rozrzucać je z brzękiem.

— Nowego czeladnika ma pan majster! — śmiał się Wojtek i poczęstawszy majstra papierosami podsunął pudełko krukowi.

— Proszę, może kolega pozwoli.

A kruk dziobnął nagle tak potężnie, że papierosy rozsypały się po stole i po podłodze.

— To mądrala! — śmiał się szewc Jan, a Wojtek śmiał się i dziwił jeszcze bardziej.

Od szewca pofrunął kruk na pierwsze piętro.

— Już wyszedł — ucieszyła się Krysia, a Zosia wołała:

— Kruku, kruku, chodź do nas!

Ale kruk zniknął już w mieszkaniu na pierwszym piętrze.

— Czy oni nie zrobią mu co złego? — martwiła się Zosia.

Kruk tymczasem był w jak najlepszym humorze. Skakał sobie po sprzętach kuchni przed oczami całej rodziny. Mamusia i Franek przyszli

aż z drugiego pokoju. Ewa nie odstępowwała kruka ani na chwilę.

— On chce jeść. Dziobie po stole — wołała i podawała krukowi kawałki chleba. Kruk brał chleb do dzioba, ale zaraz wypuszczał. Tyle ciekawych rzeczy było do oglądania. Chodził po stole i zaglądał do wszystkich garnuszków, łyżek i talerzy. Potem przeskoczył na koszyk świeżo przyniesiony z miasta.

— Ach, ty głuptasku! — mówiła Ewa. — Tam nic nie znajdziesz. Tu przecież masz chleb.

A kruk rozkraczywszy się na brzegu koszyka zaczął kuć wielkim dziobem w paczkę, owiniętą w biały papier. Podnoszący się z szelestem brzeg papieru przycisnął łapą do krawędzi koszyka i kuł dalej. Po chwili dobrał się już do mięsa pod papierem.

— To łakomczuch! — zawołała mamusia. — Uciekaj stąd! — i odpedziła kruka.

Franek przyniósł krukowi do zabawy kilka błyszczących guzików i sprzączek. Kruk chwycił je łapczywie dziobem, przenosił na niedostępne miejsce na szafce kuchennej i bawił się tym, brzęcząc na całe mieszkanie.

Nagle poczuł głód. Z wyciągniętych rąk chwycił chleb i przytrzymując go sobie łapą jadł chciwie. Potem napił się wody z białego spodka.

— Pobaw się jeszcze kruk! — prosiła Ewa, podsuwając mu pod dziób błyskotki.

Kruk patrzył przez chwilę obojętnie, przymknąwszy jedno oko, a potem schował nagle głowę pod skrzydło i usnął.

Wszyscy zaczęli chodzić cicho i mówili szeptem, żeby nie obudzić kruka.

Co chwila ktoś przystawał przed szafką, zadzierał głowę do góry i mówił:

— Jaki on śmieszny, jaki czarny.

Kiedy kruk obudził się, zapragnął nowych przygód i przez otwarte okno opuścił gościnne mieszkanie.

Plądrując po parapetach zawędrował wreszcie na trzecie piętro i zniknął za jasną firanką. Po chwili wewnątrz mieszkania rozległo się szczekanie psa i głośne okrzyki, a w oknie mignęła kilka razy ręka z chustką. Doznawszy tak niemiłego przyjęcia, kruk z godnością wycofał się za okno, a stamtąd na gzyms przeciwległej ściany.

Dwie sąsiadki, mieszkające na przeciwko rozmawiały tymczasem pełne oburzenia. Pani Anna wychylając się przez okno wołała tak, że ją słychać było w całym podwórzu.

— Widziała pani! Wrona chciała wejść do pokoju! Przez okno! Już chciała wejść na stolik! Szczęściem, mój Rabi zaczął szczekać!

I pani Anna zamknęła okno z taką miną, jakby obroniła dom przed wielkim wrogiem.

A Zosia zauważyła znów kruka na gzymsie.

— Krysiu, — zawołała — kruk jest i nawet do nas idzie!

Kruk zbliżał się rzeczywiście i wkrótce znalazł się tuż przy oknie dziewczynek.

— Cicho, nie przestraszaj go! — szeptała Krysia.

Nagle kruk spojrział gdzieś w górę, zatrzepotał czarnymi skrzydełkami i... zniknął dziewczynkom z oczu nad dachem.

Zmartwiony Józek właśnie odrabiał lekcje przy oknie, kiedy zauważył na dachu swojego kruka. Otworzył okno natychmiast i zaczął go wołać poświstując cicho.

Kruk usłyszał wołanie Józka i przyfrunawszy trzepał skrzydełkami z wielkiej uciechy.

— Chodź, kruku, chodź!! — mówił Józek. Kruk już zaglądał do pokoju, ale namyślał się jeszcze.

Z Józkowego okna widać było daleko, może już za miastem, poszarpane czuby drzew jakiegoś lasku, czy ogrodu.

Kruk dreptał przez chwilę po parapecie, a potem rozpostarł skrzydła i odleciał w stronę tych drzew.

Zofia Zydwiczówna.

Chora kotka

Dzisiaj stało się nieszczęście, straszna rzecz się stała: czarna kotka małej Cesi nagle zachorowała. Wczoraj jeszcze przymilała się o cukiereczka, dzisiaj nie chce nawet wypić z tej miseczki mleczka. Leży, dyszy, od

jedzenia cofa się ze wstrętem. Nikt już na to nie poradzi, chyba pan Wincenty.

Pan Wincenty, który u nas we wsi jest stolarzem, kiedyś, gdy był małym chłopcem chciał zostać leka-



rzem. Ale, kiedy zdał maturę, bieda była w chacie; pan Wincenty jął się pracy w ojcowskim warsztacie i tak się od tego czasu w fachu swym wyćwiczył, że najlepszym jest stolarzem w całej okolicy. I nie myślcie, że żałuje, że nie jest lekarzem; wszak na świecie są potrzebni także i stolarze. Więc żartuje pan Wincenty, z swego fachu dumny:

— Lekarz robi nieboszczyków, a ja robię trumny.

Pan Wincenty lubi dzieci. Gdy idą ze szkoły zawsze stoi w drzwiach warsztatu miły i wesoły. I z radością i z zmartwieniem każdy doń przy-

chodzi; pan Wincenty jest tak mądry, jak sam ksiądz dobrodziej. On z podartej, starej teczki zrobi zaraz całą i naprawi gięte krzesło, które się złamało, lalce dosztukuje nogę i przyklei włosy, a w bucikach zamaluje pozbijane nosy. On pomoże w najtrudniejszym, najcięższym zadaniu, każdą sprawę wytłumaczy ci na poczekaniu; a gdy czasem opowiada dzieciom coś wesoło, to się wszyscy pokładają ze śmiechu wokoło.

Więc owija Cesia kotkę chustką w żółte groszki i do pana Wincentego niesie swą pieszczołkę.

— Proszę pana Wincentego... Bar-

dzo pana proszę! Moja kotka taka chora... Właśnie ją przynoszę! Może pan zobaczy kotkę, powie mi dwa słowa, co ja mam z tą kotką zrobić, żeby była zdrowa?

Pan Wincenty wyjął kotkę i starannie zbadał, potem włożył znów do chustki i Cesi powiada:

— Bardzo smutna to wiadomość, moja Cesi miła, ale zdaje mi się, że kotka już nie będzie żyła. Może jeszcze się pomęczy jakieś godzin parę. Jeśli zechcesz, to jej wezmę na trumienkę miarę.

— Olaboga! Proszę pana! Czy koniecznie? Czemu? Czy nie można jeszcze jakoś by przeszkodzić złemu?

Pan Wincenty się zamyślił, stuknął palcem w czoło. Potem nagle się uśmiechnął i pyta wesoło:

— Zdaje mi się, że wiem, czemu chora jest koteczka. Możesz ty jej, moja Cesi, dała cukiereczka?

— Właśnie wczoraj, proszę pana, dałam jej lizuska. Mam tu jeszcze i drugiego w kieszeni fartuszka!

I wyciąga Cesia żółty cukierek groszowy.

— Oj tak, Cesi, ten lizusek taki jest niezdrowy! Nie jedz nigdy tego sama i nie częstuj kotki, bo cukierek farbowany trujący jest, choć słodki. Jeśli chcesz już jeść cukierka, niechaj ci mateczka kupi naprawdę dobrego. Także i ciasteczka lepiej kupić nieco droższe, ale za to zdrowe. Patrz, cóż z tego, że lizusek tańszy o połowę,

kiedy tyle na nim brudu, bo jest bez papierka, zato jakaś brzydka farba na wierzchu cukierka.

Patrzy Cesia na lizuska. Prawda, że w kieszeni jakoś bardzo się zabrudził, jakoś brzydko zmienił. A prócz tego po lizusku przecieź chora kotka! Kiedy Cesia jeść go będzie, ją to samo spotka,

— Już nie będę, proszę pana, nigdy jeść lizusków! Ale co się z kotką stanie? Kotkę boli w brzuchu, czy naprawdę umrze z tego?

— Ach nie, Cesi miła! Zaraz kotkę wyleczymy, będzie dalej żyła. Kiedy wiem już, że w lizusku przyczyna choroby, to jest lekarstw na to dużo, różne są sposoby. Ja po prostu, by ratować Cesiną pieszczotkę, dam łyżeczkę rycynusu. To uzdrowi kotkę.

I otwiera pan Wincenty pyszczek biednej kotki. Dużo gorszy jest rycynus, niż cukierek słodki, lecz chorobę winna kotka właśnie cukierkowi, a lekarstwo, choć niesmaczne zaraz ją uzdrowi.

— No, zabieraj swoją kotkę, jutro będzie zdrowa!

Cesia aż z radości wielkiej nie wie, jak dziękować, więc otula tylko kotkę mocniej chustką w groszki i do domu niesie prędko kochaną pieszczoszkę.

Oj, nie będzie Cesia nigdy lizusków kupować! Woli nie jeść cukiereczka, ale zostać zdrowa.

Wanda O.



JAK GROCH WĘDROWAŁ

Miał gospodarz Roch wyborowy groch. I przyszła do niego żona Walentego:

— Moi złoci, Rochu, sprzedajcie mi grochu...

— Po ile?

— Po tyle.

Kłócili się chwilę. Wreszcie Roch przyniósł groch, a pieniądze schował. Wzięła wór na plecy nasza Walentowa. Szur, szur, szur — szemrze wór: będzie groch wędrował...

— Co niesiecie, kumo?

— Groch niosę do miasta.

— Po co macie iść? Kupię od was. Basta!

— Po ile?

— Po tyle.

Kłócili się chwilę, lecz się pogodzili. Walentowa złote chowa, a jej sąsiad, Florek, bierze grochu worek. Szur, szur, szur, — tak groch podróż chwali. Szur, szur, szur — wędrujemy dalej...

Za mostem, za rzeką, bieleje miasteczko. Jest tam kościół, szkoła, i kino i park. A we wtorki, co tydzień — wielki targ. Dzisiaj wtorek. Przyszedł Florek, przyniósł worek. Choć po troszku, choć po trochu, chce się pozbyć tego grochu.

— Groch po ile?

— A po tyle.

— Chyba w Boga nie wierzycie! A i cóż się tak drożycie?

Targowali się, kłócili, aż się wreszcie ugodzili. Kupiła ten groch przekupka. Biegnie w skok do pana Krupka. A pan Krupek sklep miał śliczny przy ulicy Kanonicznej. Biegnie tam przekupka z grochem i już nawet sapie trochę. W worku szurą groch, szeleszcze: wędrujemy dalej jeszcze...

Wpadła Mania do sklepiku, bo sprawunków ma bez liku. Już kupiła kilo mydła, krochmal, jajka, pieprz, powidła.

— Zapomniałam. Och, och, och! Muszę jeszcze kupić groch!



— Panno Maniu, tutaj oto mam groch pyszny. Nie groch, złoto!

— Proszę kilo lub półtora.

Ano, grochu, wylaż z wora.

— To po ile?

— A po tyle...

— Co tak drogo? Co tak drogo?

I targują się, jak mogą.

A ja wiem, skąd ta drożyzna. Kto z was wie, niech też się przyzna.

Groch by tyle nie kosztował, żeby tyle nie wędrował...

H. Zastawski.

(Płomyczek)

ŚWIERSZCZYK

Wicher wieje, deszcz zacina,

Jesień, jesień już.

Swierka świerszczyk zza komina,

Naszej chatki stróż.

Swierka świerszczyk co wieczora

I nagania nas:

— Spać już dzieci, spać już pora,

Wielki na was czas!

— Mój świerszczyku, bądź cicho,

Nie dokuczaj nam!

To uparte jakieś лихо;

Spijże sobie sam!

A my komin obsiadziemy

Dokolutka wnet,

Słuchać będziem tego dziadka,

Co był w świecie — het!

Siwý dziadek wiąże sieci,

Prawi nam, aż strach!

A tu wicher wskroś zamieci

Bije o nasz dach!

Dziadek dziwy przypomina,

Prędko płynie czas;

Próżno świerszczyk zza komina

Do snu woła nas!

Maria Konopnicka

Przyśniło się raz Mruczkowi...

Przyśniło się raz Mruczkowi,
gdy w najlepsze spał na ławie,
że nie we śnie, a na jawie
w starym spichrze myszy łowi.

Lecz gdy się podstępnie skrada,
aby schwytać myszkę młodą,
robi skok i... z ławy spada
do ceberka z zimną wodą!

Tak to nieraz zbyt boleśnie
ukarany bywa zapał,
bo któż widział, żeby we śnie,
kiedy kotek myszki łapał!?

E. K.

CUDNY SEN

(Zakończenie)

Jesteśmy w lesie w jasny, słoneczny dzień jesienny.

Słońce nieśmiało zagląda poprzez gałęzie drzew i oświetla wysuwające się z wilgotnego mchu grzyby w śmiesznie przekrzywionych kapeluszach. Gałęzie trzeszczą, zeschnięte liście szeleszczą. Las jest zamyślony i smutny. Stoi nieruchomo, owija się w białe cieniuchne niteczki babiego lata i drzemie.

Na spróchniałych pniach drzew ukazują się maleńkie, białe pienieczki, zakończone ciemnymi, prawie czarnymi główkami. Mądrzy ludzie utrzymują, że to grzyby drzewne, ale Janek dowiedział się, że to świeczki, które palą się podczas ciemnych nocy jesiennych, a przy nich krasnoludki czytają z maluchnych książeczek. Powiedział mu to jego przyjaciel, Powoik, gdy pewnego pięknego wieczora siedzieli w lesie i zachwycali się jesienią.

— Dlaczego liście dębu mają takie czarne plamy? — spytał Janek.

— To także robota krasnoludków. Piszą czasami, a gdy skończą wylewają resztki atramentu na liście dębu.

Janek lubił słuchać opowieści o tych małych, pracowitych człowieczkach. A Powoik przyrzekł mu nawet, że kiedyś go do nich zaprowadzi.

Byli teraz z Powoikiem ciągle razem. Do domu Janek nie wracał. Przyzwyczał się żyć wśród mieszkańców pól i lasu. Zasypiał spokojnie w gnieździe drozda i nie trwożył go krzyk puchacza, ani krakanie wrony. Przed deszczem chronili się do dziupli drzewa lub do nory króliczej, albo też wtulał się pod płaszczyk Powoika i słuchał jego bajek.

Pewnego razu w lesie było bardzo cicho. Jankowi zdawało się, że słyszy cienkie głosiki i ciche stapania maleńkich nóżek. Wyteżał wzrok, myśląc, że zobaczy upragnione przez siebie krasnoludki. Ale zrobiło się znów cicho i tylko słychać było skrzypiące głosy starych grzybów, które się z sobą klóciły.

— Krasnoludki nie pokazują się w dzień — objaśnił Powoik.

Wreszcie ściemniło się. Mieszkańcy leśni pochowali się w swoich kryjówkach. Gdzieś tam odzywało się jeszcze ciche ćwierkanie zasypiającego w gnieździe pisklęcia... W końcu uciszyło się wszystko. Cienie drzew zniknęły zupełnie. Szmery jakiegś, inne niż w dzień, słychać było w lesie.

Gałazki cicho trzeszczały. Listki szeptały między sobą. Zaczęły się zapalać jedne po drugich światełka, stary spróchniały pień zajaśniał szerokim światłem. Przy jego blasku

Janek zobaczył maleńkich człowieczków, przebiegających wśród wysokich traw. Serce biło mu ze wzruszenia. Słyszał teraz wyraźnie ich głosiki i dreptanie maleńkich nóżek.

— Pójdź, Janku, ze mną, zaznajomię cię z „Gdybym wiedział“, który jest najstarszy i najmądrzejszy ze wszystkich krasnoludków.

Krasnoludek siedział przy swoim światełku. Przyglądali mu się przez chwilę z daleka. Widzieli wyraźnie jego starą, pomarszczoną twarz, siwą, długą brodę i okulary na wielkim nosie. Na głowie miał czapkę z żółdźdźdź, ozdobioną piórką. Czytał głośno, podnosząc przy tym brwi a duży pajak zwiślał nad nim na długiej nitce pajęczyny i przysłuchiwał się z uwagą. Przyjaciele przybliżyli się. Krasnoludek spojrzał na nich z ponad szkieł okularów, nie podnosząc głowy z nad książeczek. Pajak szybko oddalił się.

— Jak się macie elfy? — przywitał ich człowieczek. — Jestem „Gdybym wiedział“, a wy coście za jedni?

— Ja nazywam się Powoik, a to mój przyjaciel, Janek.

— Cóż to za książeczkę czytasz? — spytał Janek. — Pokaż mi ją.

— Jest to prawdziwa książeczka pajaków i nikomu obcemu pokazać jej nie mogę. Przechowują się u mnie prawdziwe książeczki kretów, motyli, żuków. A że nie wszystkie zwierzątka potrafią czytać ze swych książeczek, przychodzą do mnie, gdy chcą się jakiegś prawdy dowiedzieć. Właśnie, kiedy zbliżaliście się, czytałem historię najmądrszego pajaka, Szybkobazgracza, który żył przed wielu, wielu laty i pierwszy uprzął siatkę pajęczą. Dawniej pajaki żywiły się trawą i nieżywymi zwierzątkami, umiały już snuć niteczki, ale nie potrafiły uprząść siatki pajęczej. Szybkobazgracz pierwszy zbudował prześliczną pajęczynę między trzema drzewami i dowiódł, że pajaki mogą, a nawet powinny chwycić i pożerać muchy i inne szkodliwe owady. Od tego czasu w świecie pajęczym zaczęto budować pajęczyny według wzoru Szybkobazgracza i łowić w nie muchy. Szybkobazgracz został porwany przez silną zawieruchę razem z trzema drzewami, ale pamięć po nim pozostała.

— Czy to wszystko było naprawdę? — pytał Janek.

— Tak jest napisane w tej książeczce — odpowiedział „Gdybym wiedział“ i podniósł palec do góry.

— Czy krasnoludki też mają swoją książeczkę?

— Coś ty za jeden? — zawołał „Gdybym wiedział”. — Czyś ty czasem nie człowiek, żeś taki ciekawy.

— Nie obawiaj się — wtrącił Powoik. — Janek był dawniej człowiekiem i wychował się wśród ludzi, teraz jesteście obaj elfami. Możesz mu ufać tak samo, jak mnie.

— Ale czy jest taka książeczka, z której by się można było wszystkiego, ale to wszystkiego dowiedzieć? Powiedz! — nalegał Janek.

„Gdybym wiedział” oparł głowę na rękę, zmarszczył czoło, okulary osunął na koniec nosa, milczał długo, rozmyślał, a wreszcie powiedział:

— Jest jedna taka książeczka prawdziwa, ale nie wiadomo, gdzie jej szukać. Gdyby ktoś ją odnalazł, stałby się najszcześniejszym, najlepszym i najmądrzejszym stworzeniem na świecie. I szczęściem tym i mądrością, zaczerpniętą z książeczki mógłby dzielić się z innymi.

— Gdzież ona może być? Ach, krasnoludku „Gdybym wiedział”, przecież ty jesteś taki mądry, więc na pewno musisz wiedzieć, gdzie jej szukać... — nalegał Janek.

— Gdybym to ja wiedział — westchnął ciężko „Gdybym wiedział”.

— Czy chcesz, żebyśmy jej szukali razem? — spytał Janek.

Powoik stał chmurny. Począł się niecierpliwie, w końcu rzekł:

— Pójdź, Janku, pójdź! Chodźmy zobaczyć, jak słońce sprząta rosy z pól i łąk.

Ale Janek był taki zaciekawiony i pochłonięty tym, co mówił „Gdybym wiedział”, że nawet nie słyszał słów Powoika.

A „Gdybym wiedział” mówił dalej:

— Pomyśl Janku, z książeczki tej można by poznać wszystkie tajemnice przyrody, można by zaradzić wielu krzywdom i smutkom. Można by się dowiedzieć, co począć, aby było zawsze jasno i słonecznie na świecie, aby nie było nocy, ani zimy. Aby była wieczna wiosna. Kwiaty nie umierałyby ścięte mrozem. Wiatr nie smagałby zmęczonych drzew i nie zrzucałby zeschniętych liści...

W tej chwili poczuli silny pęd powietrza i nad nimi przeleciało coś wielkiego. Obejrżeli się. Krasnoludka już nie było, znikł.

— Co to? — spytał przerażony Janek.

— Puhacz.

Janek spojrział w górę i zobaczył nóżkę uciekającego krasnoludka, wystającą z dziupli. „Gdybym wiedział” wychylił się jeszcze do nich i zawołał:

— I ptak spokojnie zasypiałby w gnieździe i puhacz straciłby ostre pazury...

— Ach, gdybym wiedział, gdybym wiedział... — szeptał Janek do siebie.

Oddalili się w milczeniu. Janek był zamyślony. Powoik posmutniał bardzo. Kiedy

kładli się do snu pod listkami paproci, Powoik powiedział:

— Widzisz, Janku, nic nie pomoże, jesteś i pozostaniesz człowiekiem i przyjaźń twoja jest ludzka. My, elfy, inaczej pojmujemy przyjaźń. Dziś dopiero poznałeś starego krasnoludka i już mu zaufałeś, już wybierasz się z nim na poszukiwanie książeczki. O mnie zapomniałeś zupełnie. A czy pamiętasz warunek, jaki ci postawił Oberon, król elfów? Obiecałeś wytrwać w przyjaźni dla elfów i ufać tylko nam. Bacz, byś nie utracił jednego, nie uzyskawszy drugiego.

— Czemu więc nie szukasz książeczki, Powoiku, przecież jesteś mądrzejszy niż „Gdybym wiedział”, jesteś taki mądry jak książeczka sama.

— Gdy nadejdzie czas, będziemy jej szukać razem — odparł Powoik. — Przed tym jednak musisz poznać i nauczyć się wielu, wielu rzeczy.

— Czemuż nie zaraz? — nalegał rozżalony Janek.

— Mówisz jak dziecko. Cierpliwości, cierpliwości — powiedział Powoik i zamilkł.

W nocy Janek obudził się i już nie mógł zasnąć. Słowa posłyszane od krasnoludka spać mu nie dawały. Rozejrzał się w ciemnościach. Zdała płonęły światełka krasnoludków. Pień jaśniał wielkim światłem. Powoik spał mocno i spokojnie.

Janek wysunął się cichutko z pod jego płaszczka i szybko pobiegł w stronę światełka. „Gdybym wiedział” przywitał go przyjaźnie:

— Cóż powiesz? — spytał.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie. Gdzie jest książeczka i czy pomożesz mi w odszukaniu jej?

— A więc słuchaj... — „Gdybym wiedział” podniósł brwi wysoko, szeroko otworzył oczy i zaczął szeptem. — Ludzie przechowują złotą szkatułkę, ale nie mają do niej kluczyka, kluczyk posiadają elfy. Prawdziwy przyjaciel ludzi odszuka szkatułkę, a prawdziwy przyjaciel elfów odemknie ją, jeśli zdoła dochować przyjaźni elfom.

Janek podskoczył i klasnął radośnie w dłonie.

— Cóż ci się stało? — zdziwił się „Gdybym wiedział”.

Wtedy Janek usiadł na pieńku i opowiedział historię złotego kluczyka, który podarował mu Oberon. Stary krasnoludek siedział nawprost niego i smutno kiwał głową.

— Biegnę do Powoika i zapytam go, w której stronie zakopany jest kluczyk.

— Zatrzymaj się, zatrzymaj się... Wszystko przepadło. Zdradziłeś tajemnicę i przyjaźń elfów. Nie dotrzymałeś danego słowa.

Janek nie zrozumiał, co do niego mówi krasnoludek. Pędem pobiegł pod liść paproci.

Ale Powoika tam już nie było. Paproć wydała mu się dziwnie mała. Stapał ciężko, gałązki łamały się pod jego stopami.

— Powoiku, Powoiku! — wołał z płaczem.

Nikt mu nie odpowiedział.

Biegł przed siebie, deptał krzaczki, nogi grzęzły mu w mchu. Ciemno było dokoła.

Szedł tak noc całą. Wreszcie zaczęło świtać. Światelka w lesie dawno pogasły. Znalazł się na drodze, ale nie wiedział, w którą udać się stronę.

Poranek był mglisty i zimny. Śnieg zaczął prosić. Zobaczył z daleka domek w ogród-

ku. Podszedł do sztachet. Tuż za nimi rosły białe astry. Pochyliły główki ku ziemi i umierały ścięte mrozem. Janek poprzez sztachety wyciągnął rękę i głaskał kwiaty pieszczotliwie. Śnieg padał coraz większy i przykrywał astry, które ostatnim spojrzeniem żegnały Janka.

Janek przysiadł na ziemi, poczuł ogromne znużenie, oparł głowę na sztachetach i usnął.

— Dlaczego kwiaty muszą umierać? — szeptał sennie. — Dlaczego po jesieni następuje mroźna zima? Ach gdybym wiedział, gdybym wiedział...

Opracowała W. Kalinowska.



— Wio Mišku!... wio!!

...Człap ...człap ...cicho ...ciichoo...

Kopyta karego Miśka uderzają w orczyki, dzwonek jęczy bladziutko przy chomątach, malutkie chłodne gwiazdki lepią się na rzęsach — z olbrzymiej białej przestrzeni wieje pustka, zimno i cisza. Można się zagubić, świat zatracił granice — nic, tylko ta straszna biel i powoli zapadająca mgła, jak mleczno popielata zasłona.

— Wioo Mišku!... wio!

Staszek otulił się wytartą kożuszną, zgarbił się na małych załubniach i dumiał. Ogarniała go senność, cisza dzwoniła mu monotonną kołysankę, oczy nie miały na czym spocząć zmęczone wpatrywaniem się w niepokalaną biel śniegu, w bezkres bez granic. Niebo i ziemia zwały się w srebrzystą toń, z której tylko cień Miśka wyłaniał się ciemną plamą posuwającą się ociężale wśród puszystej zamieci śniegu.

Już z godzinę posuwali się tak naprzód: 16-letni Staszek i stary Miśko. Staszek sobie obliczał, że powinien być już blisko domu. Minęli przysiółek Króliki, a potem jechali

koło Trzech Stawów, minęli Kowalówkę i teraz tylko Sucha Wola, a za krzyżem chata. Miśko zna drogę do domu na pamięć, chyba nie zbłądzi. Nie ma się zresztą czego śpieszyć do domu, pusto tam i zimno, jak na polu. Matki przecież nie ma.

Kiedy dawniej wracał do domu, z daleka już grzał go blask czystych szybek, świecących światłem lampy i jasnym uśmiechem matki, z daleka pachniał dym matczynego ogniska. Matka szykowała z pośpiechem strawę, krzątała się po izbie i obdzielała dzieci czym mogła najlepszym. Cały dom był wypełniony jej śpiewem, jej ruchliwością, dobrodziejstwem jej miękkich rąk i ciepłych słów, w których się zatracali wszystkie dziecinne zmartwienia. Ale od roku w domu jest pustka. Nie ma matki. Leży pod sosną i pewnie teraz marznie w tę listopadową noc. Szkoda, że nie otulił jej nóg swoim kożuskiem, że nie przykrył jej rąk, kiedy zabijali trumnę. Na ręce jej położył liljowe, obmarznięte już astry, które tak bardzo lubiła.

Z pod powiek spadają duże, gorące łzy do których przylepiają się mokre gwiazdeczki

śniegu. Łzy płyną powoli wzdłuż policzków i sączą się między kręte baranki kozuszką, na którym razem ze śniegiem ścinają się w szron. Już nie ma łez tylko lodowate sople. A może wszystkie śnieg, to czyjeś łzy?

— Wioo Mišku!!... wio!

Droga się wlecze, jadą i jadą, nie widać końca tej bieli, nie ma Suchej Woli, ani krzyża. A może zblądzili?

Staszka ogarnia przerażenie. Prostuje się w załubniach i ściąga mocno lejce w skostnionych dłoniach. Miśko niechętnie podnosi łeb. Szedł, jakby się sam zamyślił nad ich wspólną niedolą. Staszek dobywa ostatnią zapalną i oświeca tarczę starego, ojcowego zegarka. Boże!! Już od dwóch godzin powinni być w domu! Jak tu trafić? Nigdzie żadnej drogi, ani skrawka lasu, ani jednej chaty! Pustka i cisza.

Zaczyna się modlić. Głód i zimno dokucają dotkliwie, jak nie trafi do domu, to zamarnie wśród tej jasnej bieli.

Znów mija godzina, kręcą się w kółko.

Nagle koń staje. Stula uszy po sobie. Nie chce iść dalej...

— Wioo Mišku!! — krzyczy Staszek przerażony, że może szkapa padnie ze zmęczenia zimna.

Ale koń się nie rusza, rzy jakimś dziwnym głosem tak, że Staszka strach chwytą za gardło. Może wilki?

Z daleka idzie ktoś. Zbliża się niewyraźny cień. Jak ciemna smuga odcina się na tle bieli śniegu... Już podchodzi do sań...

— Heej!! — krzyczy radośnie Staszek — Słuchajcie! Którędy droga do Polany?

Nikt się nie odzywa. Smuga przechodzi obok, wyciąga jednak dłoń wskazując kierunek. Z wyciągniętej dłoni spada coś w puszystą śnieżną zamieć.

— Heej! Zgubiliście coś — krzyczy Staszek sięgając po ciemny kształt, widoczny na śniegu i podnosi wiązaną zamarzniętych astrów.

— Matko!!!

Ale na drodze nie było nikogo. Puszył się tylko śnieg i z daleka ukazał się krzyż, a za nim Staszkowa chata.

Na ziemię zapadała łagodna, zimna noc Zaduszków. Na cmentarzach mrugały słabe światełka lampek i dogorywały zwarzone mrozem główki strzępiastych astrów ułożonych na grobach ciepłymi dłońmi kochających.

Joanna Czarkowska.



WYKOPKI u MACIEJOWEJ

Całemu nieszczęściu winna była stara, zbutwiała, rozklekotana drabina, co u Maciejów od trzech pokoleń w sieni stała. A było to tak.

Po opóźnionych z powodu zimna i deszczu żniwach gospodarze chwyтали za cepy, ażeby wymłócić trochę żyta na chleb, lub owsa na sprzedaż. Jak długa wieś i szeroka, ze wszystkich prawie stodoł słychać rytmiczne uderzenia cepów. Jedni we czwórce, inni w trójkę, szybko a zwinnie leżące pokotem na klepisku zboże wałą, a biedota chałupnicza w pojedynkę klap, klap, klap... postukuje. Ostatni też oni wymłóca, ale wiadomo jednemu koniowi zawsze ciężej niż parze. A cóż dopiero człowiekowi przy młóceniu.

Tak było u Maciejowej przez cały tydzień. Od świtu do zmroku bije kobiecisko cepami, aż jej pot czoło zalewa, a twardy trochę wilgotny owies jakby się na nią zawziął, ani rusz nie chce puszczać od słomy. W sobotę po południu skończyła nareszcie uciążliwą młóckę. W poniedziałek wyczyściła owies na gromadzkim wiewaku, a teraz zadowolona z dobrego omlotu nosi go w workach na strych i wysypuje do wielkiego sásieka.

Plon miała lepszy od sąsiadów, bo chociaż rok był bardzo mokry, to jednak u niej na drenowanym polu urodzaj dobry. Maciejowa, światła niewiasta, w młodości skończyła szkołę gospodarstwa wiejskiego, a potem wyszedłszy za mąż za Macieja Gajdę wnet po ślubie namówiła go, by swoją rolę wydrenował.

Niewiele tego pola było, zaledwie trzy morgi, ale u Maciejów biedy nie było. On zimą z toporem do lasu na zarobek chodził, a ona gospodarowała i pilnowała dzieci. Już ósmy raz w tym roku miała Maciejowa zaświecić świeczki na grobie męża. Zmarło mu się przed laty, ot tak, z niczego. Wracając z miasta zaziębił się, do tego przyplątało się jakieś choróbsko, którego żaden lekarz wyleczyć nie mógł i tak w sile wieku będąc, poszedł Maciej jesienią na mogiłki i spoczął snem wiecznym na groni, skąd duszy bliżej do nieba. W dolinie zaś nad potokiem, w starej, wiekiem pochylonej chacie została wdowa z trojgiem maleństw, z których najstarszy Kazio miał cztery lata, a najmłodsza Jagna zaledwie dwa miesiące.

Choroba i śmierć Macieja spustoszyły dostatek. Wydano co było uciulaney gotówki. Ale przygnębiona nieszczęściem Maciejowa uspokoiła się po pewnym czasie i dalejże do pracy. Niewiadomo właściwie, kiedy ta kobieta odpoczywa. Cały dzień przy robocie kręci się jak wrzeciono. Sąsiedzi z podziwem na nią patrzą. Dom i dzieci schludne. We żniwa sama kosą śmignie i własną krową użątek do stodoły zwiezie, pamięta o ogródku kwiatowym i o warzywach, a prosięta najlepsze z całej wsi chowa.

Nic dziwnego, że w parę lat znowu wrócił do chaty dostatek. Nową skrzynię malowaną na zielono w kwiaty kupiła i pełno w niej świątecznej odzieży przechowuje. Chatę podciągnęła nowymi belkami od spodu. Podłogę do kuchni sprawiła. Ogródek przed domem nowiutkim, płotem ogrodziła i zasadziła w nim parę pięknych drzewek.

Gdy wysoka, przystojna, czysto, dostatnio ubrana idzie w niedzielę do kościoła, głowę strojną białym krochmalonym czepkiem wysoko niesie. Niejeden nawet zamożny gazda do niej swatów posyłał, lecz daremnie. Maciejowa o zamążpójściu nie myśli, całe umiłowanie swoje w dzieci i gospodarstwo kładzie.

Z omlotu owsa jest bardzo zadowolona. Według obliczeń będzie parę metrów na sprzedaż. Będą pieniądze na zapłacenie podatku, na przyodziewek dla niej i dzieci, na opał na zimę. Trochę zostanie jeszcze owsa dla świń, łaciate cielątko też coś niecoś z tego zapasu obliźnie, a i kury wiadomo bez owsa się nie obejdą.

Z zadowoleniem więc nosi Maciejowa ciężkie worki jeden za drugim, a drabina swoim zwyczajem trzeszczy i skrzypi pod nogami, jakby ją chciała upomnieć:

— Ej, gospodyni, ja także już jestem stara, przydałby mi się zasłużony odpoczynek.

Ale gdzież myśleć o tym Maciejowej, nosi worki i skrobie się po drabinie, a drabina szykuje zemstę. Rozlega się trzask. To szczebel pęka prawie tuż pod strychem i biedna Maciejowa spada na ziemię wraz z workiem owsa. Bez zmysłów leży biedna kobieta w sieni.

Kto wie, jak długo leżałaby tak bez pomocy, bo w domu nie było żywej duszy, gdyby nie Burek.

Pocziwe psisko domyśliło się nieszczęścia. Wybiegł na dwór i zaczął przeraźliwie wyć. Dziwił się sąsiedzi temu niezwykle koncertowi Burka, biegną do Maciejowej chaty i znajdują ją prawie bez życia. Zanoszą na łóżko, cuca, posyłają po lekarza. Powoli Maciejowa przychodzi do przytomności. Sen to, czy jawa. Zdawało się jej, że spała, ale dokliwy ból przypomniał nieszczęśliwy wypadek, któremu przed chwilą uległa.

— Złamanie nogi, zwichnięcie ręki i obrażenia wewnętrzne — stwierdza lekarz. — Przez kilka tygodni będziecie musieli poleżeć w łóżku, nie ma rady.

Leży więc Maciejowa tydzień jeden, drugi... Październik mija, na polach coraz to puściej, zima się zbliża, a ziemniaki nie wykopane.

— Co my będziemy jedli? Co będzie z dziećskami? — myśli z trwogą.

Wiatr zimny hula po pustych polach. Nocne przymrozki przypominają już ludziom, że zima za pasem. Wyłysiały doszczętnie redliny ziemniaków Maciejowej. Brunatne łęty legły w bruzdach, przybite deszczem jesiennym i wichrem do ziemi.

Długo już i cierpliwie czekają redliny Maciejowej na kopaczy. Czy przyjdą? Kiedy? Tak długo przechowywałyśmy ziemniaki, a teraz mają zmarznąć? Co będzie miała gospodyni za swój trud i znoje? Niektóre ziemniaczki przykryte cieńszą warstwą ziemi już deszcz wypłukał, a ich białe lub czerwone sukienki zbrunatniały i pozieleniały. Zazdroszczą towarzyszom ukrytym w ciepłej głębi ziemi, że zdrowe i dorodne pójda człowiekowi służyć. Zielone ziemniaki gospodarz, wiadomo, na osobną kupkę zsybie i spasio nimi świnki lub drób. A zdrowe to i drugą wiosnę może zobaczą i zasadzone w nowe redliny żywot swój dalej przedłużą.

* * *

Z dużego, jasnego budynku wieloklasowej Szkoły Powszechnej w Choczni wysypują się na podwórze szkolne gromady dzieci. Trzymają się przeważnie klasami. Osobno, trochę na uboczu zatrzymali się siódmacy, a między nimi i Kazio, syn Maciejowej.

— Dokąd lecis, Kaziek? Co tobie? Dla-

czego chodzisz taki osowiały? — zagadnął go Jacuś Bielenin.

— Jakże mam się weselić — smutno odparł Kazik. — Matka chora, ziemniaków nie ma kto wykopać, ot dola. Teraz właśnie zwolniłem się z ostatniej godziny, aby iść do domu, matce i rodzeństwu przynajmniej jakiej takiej stawy ugotować.

— No to biegnij, kolego i bądź dobrej myśli. Nie turbuj się! — pożegnał go Jacuś i zamyslił się, jakby tu pomóc koledze. Nagle stuknął się w głowę, widocznie jakaś dobra myśl mu zaświtała.

— Koledzy, siódmacy, słuchajcie! — zawołał. — Powiedzcie mi, ile jest u Maciejowej redlin ziemniaków?

— A temu co tam znów po redlinach Maciejowej — mruknął ktoś z boku.

— Dwadzieścia cztery — woła Józio Kałiński.

— Ty figę wiesz, dwadzieścia pięć — sprzecza się Wicus Bryndza.

— Dobrze więc! Nie sprzeczaście się. Przypuśćmy, że dwadzieścia pięć. Jest nas w klasie pięćdziesięciu dziewięciu, zatem na jedną redlinę dwu uczniów wypadnie i jeszcze do odnoszenia koszyków ktoś zbędzie.

Przerwał Jacuś, a chłopcy patrzą na niego wyczekująco, czekają, co dalej powie.

Jacusia prawie wszyscy lubią, a wielu mu zazdrości. Jest zdolny, uczynny, towarzyski. Temu zadanie rachunkowe pomoże rozwiązać, tamtemu zdania gramatyczne w mig ułoży, z innymi się kromką chleba podzieli, bijących się rozpędzi, a niekiedy też niewinnego psikusia wypłata tak, że się cała klasa śmieje. Lubią go też i nauczyciele i nie bez racji mawiają:

— Ten jak dorośnie na pewno wójtem będzie, bo jest stworzony do rządzenia.

A Jacuś prawi dalej:

— Koledzy, czy pozwolimy Każkowi i jego chorej matce głód cierpieć, dlatego, że spotkało ich nieszczęście? Jak chcecie kochać bliźniego? Gębą, co nic nie kosztuje, ale też i nic nie warta, czy czynem?

W tej chwili odezwał się dzwonek. Chłopcy radzi nie radzi ruszyli do klasy, ale szepty i narady trwały jeszcze, gdy nauczyciel wszedł do klasy.

Na drugi dzień wstaje powoli słońce nad

polami oszronionymi nocnym przymrozkiem, spowitymi sinymi welonami mgieł. Ledwo trochę rozedniało, a już na polu Maciejowej dziesiątki kopaczek błyska w powietrzu, by po chwili zagłębić się w redliny i wyrzucić okrągłutkie bulwy. Dziesiątki rąk zręcznymi ruchami zbiera je z ziemi i rzuca do koszyków. Śmiechy i wesołe żarty towarzyszą żmudnej pracy.

To Kazikowi koledzy za namową Jacusia, a zgodą rodziców i pana kierownika szkoły wykopują ziemniaki chorej Maciejowej. Pęcznią koszyki, ziemniaczana mogiła rośnie i rośnie. Nie będzie biedy u Maciejowej, nie będzie głodu. Ocierają chłopcy spocone czoła,

bo słonko prażyć poczyna, ale roboty jeszcze huk.

Pod wieczór ukończono kopanie. Wybrana delegacja kopaczy poszła zawiadomić o tym Maciejową.

Wiadomość o tej bezinteresownej pomocy Kazikowych kolegów wzruszyła bardzo Maciejową. Radosne łzy ciurkiem jej z oczu płyną. Przygarnia chłopców kolejno do siebie, składa macierzyński pocałunek na ich czole, głaszcząc ich rozwichrzone głowy spracowaną, kościstą ręką i cicho szepcze:

— Dzięki wam za wasz wysiłek, chłopcy, niech wam Bóg za to błogosławi.

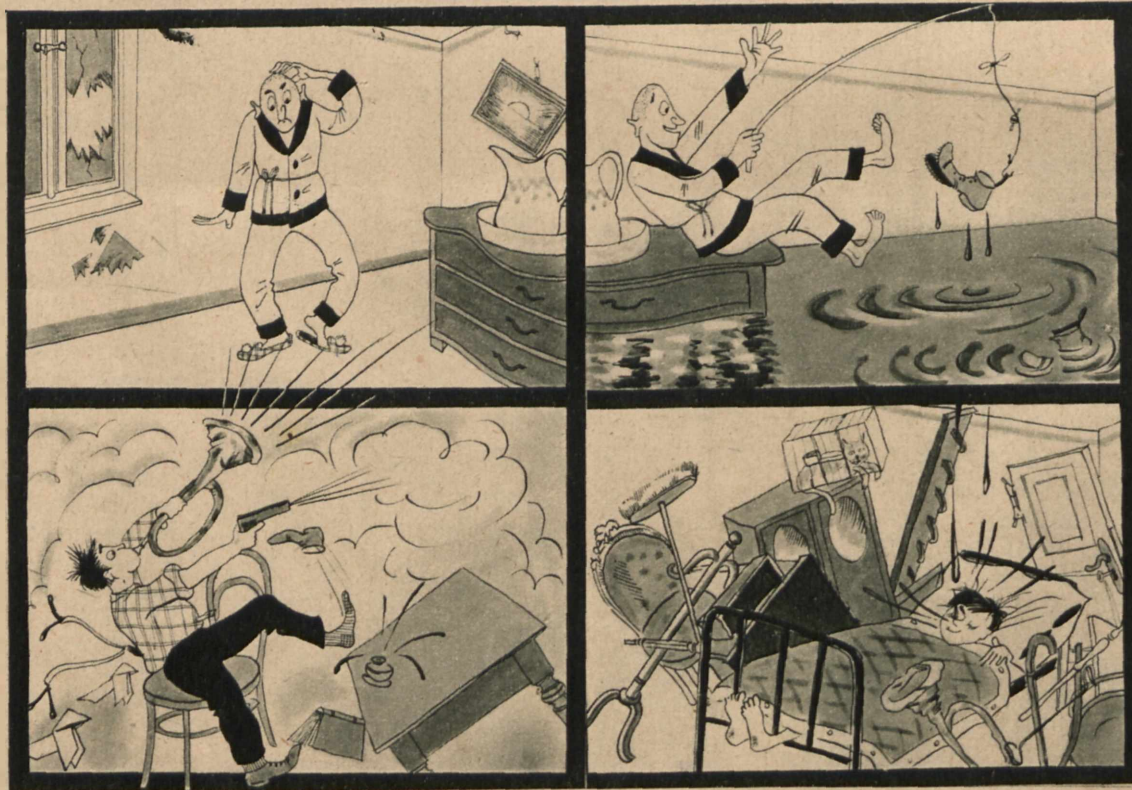
Aleksander Widlarz

PAWEŁ I GAWEŁ

Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole;
Paweł spokojny nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole;
Ciągłe polował po swoim pokoju:
To pies, to zajac — między stoły stołki
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.

Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
— Zmiłuj się, waćpan, poluj ciszej nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą.
A na to Gaweł: — Wolność, Tomku,
W swoim domku!

Cóż było robić? Paweł ani pisał,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.



Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie.
Zrywa się z łóżka i pędzi na górę.
Stuk! Stuk! — Zamknięte! Spogląda przez
dziurę
I widzi — cóż tam?... Cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie!

— Co waćpan robi? — Ryby sobie łowię.
— Ależ, mospanie, mnie kapie po głowie!
A Paweł na to: — Wolność, Tomku,
W swoim domku!
Z tej to powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

Aleksander Fredro

Pogotowie ratunkowe

— Matko, a kiedy dasz obiad? Już pierwsza dochodzi. Słyszysz jak nam kiszki marsza grają? Antoś aż przybladł z głodu. Posłuchaj, stuk, stuk, stuk... trz... trz... trz... To w jego kiszkach tak gra — śmiał się pan Jacenty.

Odgłosy te dochodziły z warsztatu szewskiego, w którym pracował pan Jacenty ze swoim uczniem, Antosiem. Przybijał właśnie obcas i tarł szklanym papierem gotową zelówkę, żeby ją wygładzić.

Przez otwarte drzwi do warsztatu widać było pochylonego majstra nad niskim stolikiem, na którym rozłożone były narzędzia szewskie: młotki, gwoździe drewniane i żelazne, kawałki skóry, dratwy i kopyta.

— No, przestań, Antosiu, dosyć tej muzyki.

— Ha, ha, ha! — śmiał się chłopiec. — Pan majster to zawsze wymyśli coś śmiesznego.

Majstrowa krzątała się po małej kuchence i uwijała się przy kominie.

— Zaraz, zaraz, tylko ziemniaki się dogotują, surowych jeść nie będziecie, poczekaj.

— O, laboga, soli będę miała mało! Leć no, Jaguś, do sklepiku, a puść psa, trzymasz go na ręku i niańczysz go wciąż, jakby pies sam nie umiał chodzić. Masz tu pieniądze i wracaj szybko, ojcu się jeść chce, ale zostaw psa, gdzie będziesz się z nim taszczyć. Głupi szczeniak zapłacze się pod nogami, jeszcze cię przepadają przez niego.

— Mamusiu, zabiorę go z sobą, przespaceruje się Asik, a do sklepiku tak bliźiutko.

— A nie trzymaj go na ręku, bo zgubisz pieniądze, albo sól wysypiesz.

— Dam sobie radę, mamusiu.

— A nie gap się, uważaj na samochody... — wołała jeszcze matka za wychodzącą Jagusią.

— Jagusia wyszła z bramy, postawiła psiaka na chodniku, przeszła ulicę akurat pustą w tej chwili, a pies kołyszac się z boku na bok, biegł koło niej.

W sklepiku było sporo kupujących, Jagusia musiała czekać dość długo. Kiedy dostała wreszcie swój sprawunek i resztę; wybiegła szybko ze sklepu i pędem przebiegła jezdnię. Będąc już przed swoją bramą przypomniała sobie dopiero o psie. Gdzież jest Asik? Rozejrzała się i zobaczyła swojego pieska, spokojnie węszącego po szynach tramwajowych. Kręcił się, jakby czegoś szukał, oblizywał sobie łapkę, nic sobie nie robiąc z nadjeżdżającego już tuż, tuż tramwaju.

— Asik, Asik! — wołała zrozpaczona dziewczynka, ale głupi psiak, jakby nie słyszał wołania.

Jagusia podbiegła, porwała psa na ręce już prawie z pod kół tramwaju, motorowy silnie zahamował, ale w tej chwili Jagusia potknęła się, bo zaczepiła obcasem o szynę, upadła i otrzymała mocne uderzenie zderzakiem umieszczonym na przodzie wozu. Motorniczy wyskoczyli na jezdnię, podbiegli przechodnie, podnieśli nieprzytomną dziewczynkę, nadbiegł policjant i przeniósł ją do pobliskiej apteki. Jagusia przez cały czas nie wypuściła psa mocno go przyciskając do piersi. Bledziutką, zakrwawioną dziewczynkę położono na kanapce, skąd policjant zatelefonował po Pogotowie Ratunkowe.

W biurze Pogotowia zadzwieczył telefon. Dyżurny sanitariusz podniósł słuchawkę.

— Tu stacja Pogotowia Ratunkowego. Wy-padek przejechania? Proszę adres?! — i roz-

mawiając jeszcze naciskał już guziczek dzwonka i podnosił do drugiego ucha słuchawkę telefonu wewnętrznego: — Garaż? Karetka natchmiast. Drugi aparat. Rozłączył się, przycisnął inny guziczek i wołał: — Doktor dyżurny! Wyjazd! — Jednocześnie notował adres apteki, w której leżała Jagusia.

Nie upłynęły trzy minuty, a karetka Pogotowia mknęła jak strzała przez zatłoczone ulice.

— Tra-tata, tra-tata, tra-tata! — rozlegała się trąbka pędzącego samochodu Pogotowia a przed nią ustępowało z drogi wszystko, co żyło. Wiedzieli wszyscy i piesi i jadący drożkami, taksówkami, wozami ciężarowymi, że trzeba jak najszybciej zejść z drogi, bo tu życie czyjeś znalazło się w niebezpieczeństwie. I przyjaznym, życzliwym okiem odprowadzono dobroczynną karetkę.

Lekarz Pogotowia szybko podszedł do dziewczynki.

— Żyje. Serce w porządku. Silne omdlenie. Dał zastrzyk, po którym Jagusia otworzyła oczy, nałożył tymczasowy opatrunek. No, chłopcy — zwrócił się do sanitariuszy — dawajcie nosze, trzeba małą przewieźć do szpitala.

— Ale co z tym psem zrobić? Dziecko trzyma go tak mocno... Czyje to dziecko, może kto wie?

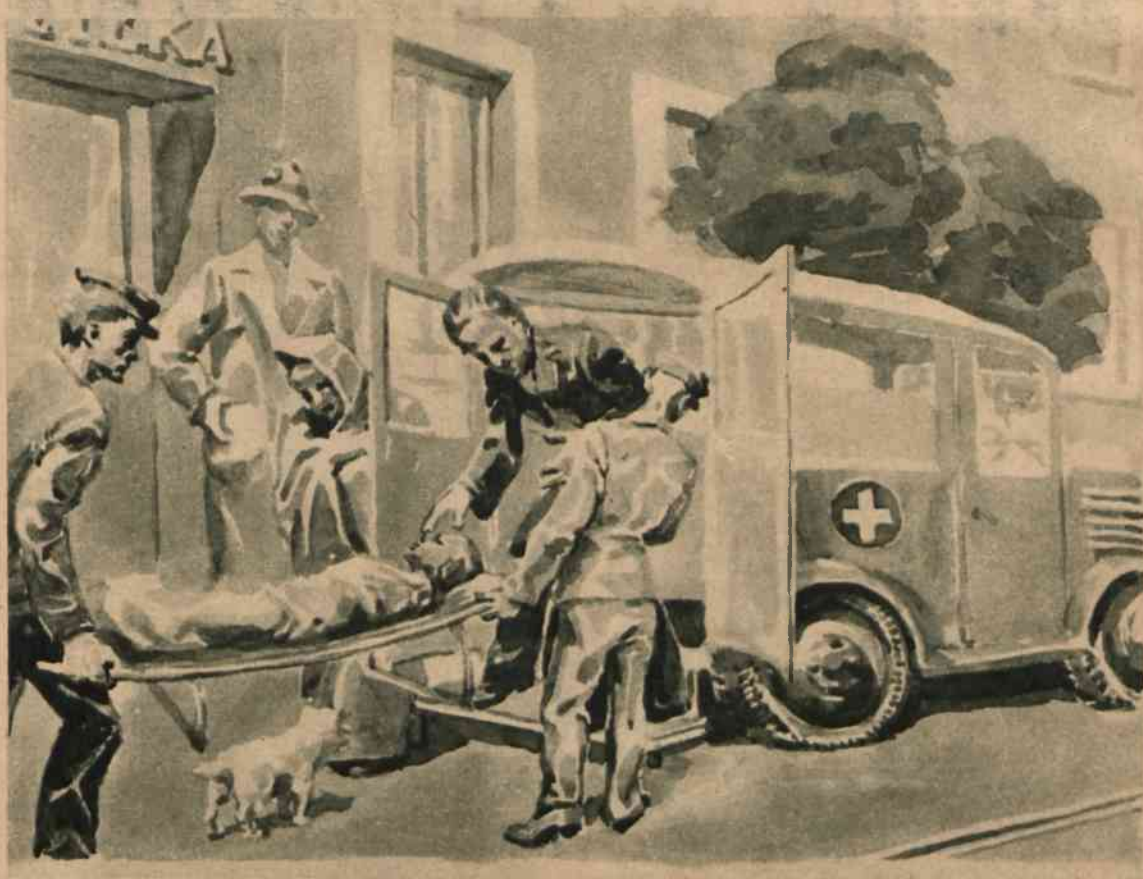
— Ja wiem, panie doktorze, to dziecko szewców z przeciwka, mała brała u mnie sól przed chwilą, mój Boże, takie miłe dziecko — zapłakała sklepiczarka, ocierając łzy fartuchem. — Biegnij no Janek do szewców, sprowadź matkę.

Pani Jacentowa z głośnym płaczem wbiegła do apteki.

— O, moje dziecko kochane, o mój Boże, panie doktorze, czy będzie żyła, a mówiłam i widać w złą godzinę wymówiłam, że ją przejadą, o laboga...

— Uspokój się pani — powiedział doktor. — Na płacz i lament jeszcze czas, trzeba ją ratować. Na szczęście pomoc dajemy tak szybko, że nie ma na razie się czego obawiać. Niech pani będzie dobrej myśli i błogosławi Pogotowie Ratunkowe. Bo gdyby trzeba było dopiero szukać lekarza, mogłoby być za późno. Bardzo dużo krwi straciło i tak biedne dziecko.

Sanitariusze umieścili nosze w karetkę tak, że Jagusia leżała jak w łóżeczku. Na wąskiej ławeczce, która znajduje się w karetkę, usiadł



doktor i trzymał jej rączkę, badając ciągle puls. Bardzo szybko zajechali do szpitala.

Nazajutrz, w szkole, pani czytała listę obecnych.

— Jagusia Cieplakówna?

— Nieobecna.

— Co się stało? Jagusia nigdy nie opuszcza lekcji bez ważnego powodu. Czy żadne z was nie wie, dlaczego jej nie ma?

— Ja wiem — odezwał się Stefek. — Jagusię wczoraj przejechał tramwaj.

— Jakto? Na śmierć?

— Nie, proszę pani, zabrało ją Pogotowie Ratunkowe.

— No, to chwalić Boga. Jeśli zaopiekowało się nią Pogotowie Ratunkowe, na pewno będzie zdrowa. Zaraz dziś zajdę do szpitala i dowiem się o jej zdrowie, to i wam powiem, jak się czuje biedactwo.

Dzieci, które bardzo lubiły Jagusię, posmutniały i już do końca lekcji nie słyszały ich prawie było, takie były ciche.

Po miesiącu Jagusia wyjść miała ze szpitala, zupełnie zdrowa. Przyszli po nią rodzice

i Asik. Była jeszcze bardzo osłabiona i ble-dziutka. Ojciec wziął ją na ręce i wniósł do dorożki. Pani Jacentowa załatwiła jeszcze coś w kancelarii. Przyszedł lekarz, któremu pani Jacentowa serdecznie dziękowała za wy-lczenie córki.

— Moja pani, przede wszystkim błogosła-wić należy tę pożyteczną instytucję, jaką jest Pogotowie Ratunkowe. W tym wypadku, tak samo jak w wielu innych, najważniejsza jest rychła pomoc udzielona choremu. Taką rychłą pomoc może dać tylko Pogotowie Ratunkowe, w którym są stałe dyżury lekarzy w dzień i w noc. A my, prywatni lekarze nie możemy swoim czasem tak rozporządzać, żebyśmy zawsze byli gotowi do udzielenia natychmia-stowej pomocy. Niech pani idzie z Bogiem i gdyby pani jeszcze czegoś potrzebowała od nas dla dziecka, proszę się do nas zwrócić.

— Modlić się będę za panów doktorów i za dobrą pomyślność Pogotowia Ratunko-wego. Będę teraz wpłacać co miesiąc, choćby najmniejszą sumę na Pogotowie Ratunkowe, za to, że mi to moje dziecko uratowało.

Romana Zawistowska

RIĘCIE MATCZYNE

*W noc zimną, wietrzną, czujnie i troskliwie
Ciepłą kołderką otulą dziecinę,
Z mokrego czoła pot obetrą tkliwie —*

Ręce matczyne.

*Zwinne i zręczne od wczesnego ranka,
Aby wystroić pociechy jedyne,
Szyją, cerują, nicują ubranka —*

Ręce matczyne.

*Piorą, gotują, piszą, jak dzień długi...
O każdej porze i w każdą godzinę,
Słodkie i chętne do wszelkiej usługi —*

Ręce matczyne.

*Sterane pracą, z palcami jak sęki,
Zsieczone wiatrem i od mrozu sine
Dźwigają z lasu ciężkie chrustu pęki —*

Ręce matczyne.'

*Wierne do zgonu w chwale czy niesławie,
Ukoją troskę i wybaczą winę,
Zawsze ku tobie otwarte łaskawie —*

Ręce matczyne.

A. Bochenkova
(Z „Czyn młodzieży“)

Przędza Matki Boskiej

Kiedy na pola pierwszy śnieg się zwali, po chatach ogień na kominach błyska, smolne łuczywo iskierkami pryska, a gdy się płomień wesoło rozpali, w koło dziewczuchy przy kominach siedą i złote pieśni szarą nicią przędzą.

A między jedną piosenką, a drugą, gdy dopalanych głowień żar przygaśnie, starsza prządniczka opowie baśnię: to o Madeju z zbójceją maczugą, to o królowie czarami zakłętej, to o trzech braciach, co szukali siostry; a gdy wyprzedzie wszystkie bajki swoje, rzecze:

— A teraz o Paniencie Świętej opowiem wam jedną powieść już prawdziwą, skąd mam płótno i kto dał przędziwo.

Tu się przeżegna, jakby przed modlitwą, odepnie kądziel i wrzeczono składa i zasłuchanym dziewczkom opowiada:

— Widzicie ludzie, stała w jednym siole chatenka mała pod lasem na dole; przy chatce sad był i ogrodu kawał.

Ogród warzywo, sad owoce dawał, a z czarnej roli biały chleb się rodził, w chatce kmieć mieszkał, co za pługiem chodził, z żoną staruchą i córką dziewczuchą i jakoś im ta, chwalić pana Boga, nie bardzo ciężka była w wieczność droga...

Ale kmieć stary zachorzał obłożnie, bo zły wiatr jakiś na ziemię nim śmignął; jak legł w pościeli tak się już nie dźwignął i gdy nie było na chleb orać komu, bieda i lament zagóściły w domu. Odłogiem stała nie zasiana rola, u drzwi i okien czyhała niedola.

Każdy dzień gorszy dla niebożąt świata. Jedna dziewczucha nie traciła ducha i do Najświętszej modliła się rzewnie, rano i wieczór Niebieskiej Królowie oddając ojców w opiekę i siebie. A Pan Bóg słuchał z Matką Boską w niebie.

— Panie Przedwieczny, Wszechmogący Boże, oto niegodna przed twym tronem staje,



nie daj nam zmarnieć, święć się Imię Twoje!
Ojca i Matki lituj się starości, nie skąp im
chleba swego powszedniego; tyś Pan, tyś
Mocarz, tyś jest Król Światłości!... Żdźbło
trawy nie zeschnie bez rozkazu twego, bez
wiedzy Twojej liść z drzewa nie spada, jeno
się pierwej Tobie opowiada. Przecież ty nie
dasz, aby bez powodu ojcowie dziecku umie-
rali z głodu! Oto ja, córka, za ich życie stoję...
Bądź wola Twoja, przyjdź królestwo Twoje!...

Tak się, bywało, naprasza dziewczucha, a Pan
Bóg w niebie z Matką Boską słucha.

Raz ci usnęła dziewczucha z północks, przy
chorym ojcu swoim czuwająca, aż tu we śnie
wchodzi Matka Boska i białą lilią dziewczuchę
potrąca i rzecze do niej:

— Nie frasuj się dłużej, ja się żałosci twojej
ulituję i pocieszenie przynoszę ci w smutku.
Spójrz, te kwiatki znajdziesz w twym ogród-
ku; jutro, gdy słońko zabłyśnie na niebie, mo-
drymi oczy popatrzą na ciebie, cienkimi prą-
ki z ziemi się podnosząc i świecić będą bry-
lantową rosą. Narwij tych kwiatów dużo,
dużo, dużo a one tobie dobrze się przysłużą
i znajdziesz skarb w nich i będziesz bogata
i dobrodziejstwo weźmiesz z nich dla świata!...

Dziewucha patrzy, i dziwi się wielce, i nie
śmie pytać, jaki to pożytek dać mogą kwiatki
z modrymi oczyma, które Najświętsza w swo-
jej dłoni trzyma.

Na drugie rano do ogródka bieży, patrzy
i własnym oczom swym nie wierzy... Kędy
ci spojrzy na wczorajsze grzędy, drobnego
kwiecica jakby nasiał wszędy. Kwiatek ma-
luchny, a łodyżka długa, kłoni się do niej,
i jak żywa mruga, i zda się woła:

— A rwij mnie żywo, jak ci Matka Naj-
świętsza kazała!...

Ale dziewczucha osłupiona stała, patrząc
na takie niepojętne dziwo i załamała ręce
i w płacz!...

— Boże mój, Boże, a któż mi biednej,
radą dopomoże!... Mam ci ja skarb pono
z łaski nieba, a nie wiem, jak się zabrać do
nich trzeba!...

I przeplakała cały dzionek prawie. Nocą
w komorze usnęła na ławie i niby śnito, niby
jeszcze czuwa, naraz — o Jezu! widzi, jak
do chaty przyleciał anioł śliczniuchny, skrzy-
dlaty, a za nim drugi, a za drugim trzeci
i czwarty, piąty i dziesiąty leci, i pełna izba
robi się aniołów: naprzynosili jakichś kołów,
stołów, nicianych motków, przędzy, koło-
wrotków, i nuż się krzątać, i nuż warsztat
zakładać.

W mig ustawili wszystko jak należy,
a wtedy w progu u otwartych dźwierzy sta-
nęła sama Przczysta i rzeknie, pilnie rzu-
ciwszy okiem na wsze strony:

— Bóg z wami!... Niechaj będzie pochwa-
lony!... A aniołowie odrzekli:

— Na wieki!...

Potem Najświętsza, co króluje światu, po-
deszła sama zwolna do warsztatu i tym anio-
łom, co koło niej stali, kazała, aby płótno
przy niej tkali i przywołała dziewczynę
i mówi:

— Patrzaj ty jeno i uważaj sobie, jako ja
pasma z owych nitek robię.

I sama nitkę dziergnawszy cienką wraz
po warsztacie puściła czółenko i tkala cudne
płótno przy dziewczusze, ucząc ją tkactwa pa-
luszka mi swymi.

Marian Gawalewicz
(Legendy)



K. Kłosowski, Zakopane.

BRZYDKIE KACZĄTKO

Najpiękniejszy z łabędzi rozpostarł skrzydła bielsze od srebrzystych łśnień słońca na wodzie i popłynął wolno po szarozielonym, zarosłym po brzegach rzęsą stawie.

Malutkie, najbrzydsze chyba z brzydkich kaczątko patrzyło na białego ptaka z zazdrością i podziwem. Oddałoby chętnie życie, aby przez chwilę być tak pięknym i wspinałym. Biedne, udręczone serduszko przepełniał żal tak wielki, że niesposób go było wyrazić. Biały ptak odpływał z wolna, jeszcze bielszy na tle wschodzącego czerwono słońca, już go nie było widać, był daleki, jak każde marzenie o lepszym piękniejszym świecie.

A podwórko budziło się do życia i to była rzeczywistość.

Bielutka kura z czerwonym grzebieniem z dumą prowadziła kilkanaścioro kacząt, żółtych jak kaczęce świeżo rozkwitłe na łące, o uroczych, płaskich dzióbkach i pełnym wdzięku, zlekka kołyszącym się chodzie. Oglądała się z niepokojem na wszystkie strony, bo najstarszy jej synek znowu się gdzieś zawieruszył, a choć był brzydki i wyjątkowo niezręczny serce matki biło jednakową miłością do całej gromadki. Milej by może było wysiedzieć kurczęta, które by zapewne nie przebywały cały dzień na brzegu stawu, nie traciłaby ich z oczu, nie niepokoiłaby się o nie, ale trzeba przyznać, że kaczęta były także miłe i wyjątkowo dobrze wychowane i kiedy szły z niedbałym wdziękiem do porannej kąpieli, zwracały na siebie oczy wszystkich: i pięknego koguta, którego ogon lśnił jak najwspanialsza tęcza, i strojnych w czerwone korale indyków, i wytwornych czarno-białych perliczek.

Tylko małe, szare kaczątko nie podobało się nikomu. Nawet dziewczyna karmiąca drób odtrąciła je kiedyś drewnianym trepem, gdy podbiegło z gromadką żółtych braciszków do rozsypanego ziarna. Może jedna kuramotka miała dla niego odrobinę sentymentu, ale i to się zmieniło, gdy kaczątko stałe odtrącane, poniewierane, skubane, szarpane, szczypane, samym swoim wyglądem wzbudzało litość i każdy, kto na nie spojrzał, myślał to samo:

— Jakie ono jest jednak brzydkie...

Trudno, brzydota nie jest naszą winą, ale

widocznie jest bardzo przykra dla otoczenia i potrafi zniechęcić do życia. Małe kaczątko wybrało się więc w drogę. Może to była ucieczka od smutnej rzeczywistości, może podróż w nieznaną, u kresu której chciało kaczątko znaleźć może nawet nie szczęście ale spokój i zadowolenie.

Było lato i na polach leżało dużo ziarna, rowy i brzegi strumyków pokryte były smaczną, zieloną rzęsą, przed każdym chłopskim domkiem, nie mówiąc o większych zagrodach, karmiono drób, świnie pozostawiały w korytach niebывałe przysmaki: łupiny z kartofli posypane otrębami... Słowem jedzenia było pod dostatkiem. Kaczątko działa się dobrze. Na obcych podwórkach brzydota kaczątko robiła nawet dość egzotyczne wrażenie i nie mówiono niegrzecznie, że jest brzydkie, tylko tak, jak się to określa wśród kulturalnego otoczenia: że jest oryginalne. W każdym razie było inne niż wszystkie kaczęta w tym wieku, dużo większe i silniejsze, nawet pływało lepiej, było wytrwałe, nie męczyło się łatwo i było brzydkie, brzydkie, bardzo brzydkie.

Patrzyło czasem na swój obraz odbity w wodzie, stawało na krawędzi studni i w małym krążku wody, który tak wiernie oddawał piękność błękitu nieba, biel chmur, zieleń gałęzi, widziało u brzegu małego potworka z wielką szarą głową i zbyt cienką szyją... Przymykało wtedy oczy i starało się prędko myśleć o czymś bardzo pięknym. Wtedy myślało najczęściej o białym ptaku, którego widziało w dzieciństwie i o tym jak bardzo chciałoby być choć trochę podobne do niego.

A potem przyszła jesień.

Na początku świat był może jeszcze piękniejszy niż latem, bardzo kolorowy. Liście były czerwone i złote, zachody słońca olśniewały tysiącem barw, poranki były zasnute srebrzystymi mgłami, na złoto-zielonych trawnikach rozsypane były opalowe perły rosy.

Ale potem było bardzo zimno, już prawie nigdzie nie można było zdobyć pożywienia nawet najskromniejszego i ambitne, pełne wytrwałości kaczątko zmuszone było przetrwać swą podróż. Przybłąkało się do małej zagrody, gdzie na wpół ślepa staruszka uciezła się bardzo z nowego przybysza. Sądziła, że kaczątko, które urosło tymczasem ogromnie, jest kaczką, która będzie znosiła

jajka. Jedynymi towarzyszami staruszki była kura i ogromny, czarny kot.

U tej staruszki przepędziło kaczątko zimę.

Ale gdy nadeszła wiosna, mała, ciemna izba stała się zbyt ciasną dla kaczątko. I wyruszyło znowu w świat.

Czy to był tylko przypadek, czy też może podświadoma chęć powrotu do stron rodzinnych, dość, że w powrotnej drodze małe kaczątko trafiło do stron, z których wyszło. Nie było już zresztą małe. Urosło przez ten czas bardzo. Dziura w płocie, przez którą przechodziło wiele razy zmałała dziwnie, mniejsze wydawały się kurniki, nie tak wysoki gołębnik, staw za podwórkiem, po którym pływały białe ptaki okazał się zarosłą rzęsą zatoką, która łączyła się z ogromnym jeziorem.

W tej chwili kaczątko wiedziało doskonale, że nie chciałoby zobaczyć nikogo z podwórka, ani pięknego koguta, ani białej kury z czerwonym grzebieniem, która opiekowała się nim, gdy było zupełnie maleńkie, ani indyków, ani perliczek. Chciałoby tylko zobaczyć wspaniałe, białe ptaki, które wzbudziły tyle podziwu i zazdrości w małym, brzydkim szarym kaczątku. Choćby to miało kosztować jeszcze jedno upokorzenie więcej, choćby zostało znowu odtrącone, musiało je zobaczyć raz jeszcze.

Po drugiej stronie jeziora, gdzie rozpoczynał się wspaniały park, pływały piękne łabędzie. Kaczątko popłynęło do nich. Może je odpędzą, a może nawet zabiją? To nic, to nie jest ważne, lepiej zginąć niż męczyć się

dalej, żyć zawsze samotnie, odtrącane i poniewierane.

Białe ptaki przypląnęły bliżej, przyjaźnie skinęły głowami, otoczyły kaczątko, które nic nie rozumiało.

Z parku wybiegły dzieci: chłopczyk i dziewczynka. Zaczęły rzucać kawałki bułki, przywoływać łabędzie po imieniu.

— Spójrzyj, jaki piękny łabędź, może piękniejszy niż inne...

Kawałki bułki... Przyjazne spojrzenia białych ptaków pływających obok... Czy to sen, czy też najpiękniejsza rzeczywistość?

Jedno spojrzenie w spokojną taflę wody, która odbiła obraz białego, prześlicznego ptaka, było bardziej przekonywujące niż wszelkie rozumowania.

Kaczątko było łabędziem, najpiękniejszym łabędziem.

Między kaczymi jajkami, które wysiadywała kura, znalazło się jajko łabędzie. Nikt, nigdy nie widział łabędzia na podwórku, nikt nie wiedział, że małe łabędzie są brzydkie, dużo brzydsze od żółciutkich kaczątek i kurczątek, każdy sądził, że z małego potworka wyrośnie kaczką, bardziej brzydka od innych. Ale całe smutne dzieciństwo, cały ból i żal, który przepełniał maleńkie serduszko poniewieranego kaczątko znikł, jak dręczący sen, w chwili, gdy wspaniałe ptaki uznały go za brata.

Nowy łabędź — najpiękniejszy z łabędzi, rozpostarł skrzydła bielsze od srebrzystych lśnień słońca na wodzie i popłynął do słońca.

Wg Andersena opracowała
K. Chruścielska



KOWAŁ

Pada młot,
pada młot.
Pod pułapem
dym się snuje.
Pada młot,
cieknie pot,
kował sztabę kuje.
Pada młot,
straszny grzmot...
Dzielnie się pracuje!

W górę,
na dół,
w górę,
na dół,

nie omija,
nie daruje,
ale kuje,
ciągle kuje,
odskakuje,
lecz znów wraca.
To jest praca,
ciężka praca,
to kowala los.

Cała sztaba
jest czerwona,
rozżarzona,
prawie biała.
Bucha żarem,

zieje cała.
Choć nie chciała,
lecz została
pokonana,
rozklepana,
zgięta...
I ot, nowa
jest podkowa,
sierpy, kosy,
lemiesz nowy!

Zdrowy trud,
choć chleb surowy,
twardy trud,
lecz czerstwe zdrowie.

Gdy kto wie,
to sobie powie:
— Każdy szczęścia
jest kowalem!
Nic nie zdziałasz
gorzkim żalem!
Bij w żelazną
sztabę życia!
Nowe godło,
nowe bycie,
nowy kształt,
zupełnie nowy,
przybij na swój próg!

Ked.



Odlewnia stali

Weszli w podwórza fabryczne.

Otoczyła ich puszcza machin i warsztatów. Tu hale otwarte, w których wiły się złote węże drutu, gdzie indziej zionęły ogniem jamy pieców martenowskich, dalej jęczały młoty parowe, bijące w belki białej stali.

Kupy węgla, szmelcu, stosy szyn, „gęsi“ — zagradzały im drogę. Judym miał już wyrobione pozwolenie zwiedzenia wszystkich robót, a nawet delegowanego specjalistę-technika, który miał go wraz z kuzynką oprowadzić...

Poszli tedy we troje... Weszli po schodach na wielki piec.

Widzieli kaskadę, ochładzającą mur rozpalony, trąbę, która prowadziła do jego wnętrza upalne powietrze i która zdaje się oddychać, jak aorta.

Joasia nie mogła się dosyć napatrzeć cienkiej smudze szlaki, tryskającej jak krew z górnego otworu. Właśnie przy nich przebito piec i ognista rzeka wylała się na ziemię. Cudne iskry strzelały z tego złotego strumienia. Fale jego posłusznie płynęły do łożysk swoich, które im długimi drągami otwierali czarni ludzie w siatkach na twarzy. Łuna stała jeszcze nad tą sadzawką ognistą, gdy ją opuścić musieli dążąc gdzie indziej.

Wprowadzono ich do sali maszyn, pompujących gorący wicher. Olbrzymie koła o kilkunastu metrach średnicy, do połowy zanurzone w ziemię, toczyły się w swych miejscach bez szelestu w jakimś milczeniu i chwale. W cylindrach, błyszczących jak lustra, coś nieustannie cmokało, jakby wielka gęba niechlujnego potwora chleptała napój. Z innego miejsca wyrывał się dźwięk nieistniejący...

Był to krótki urwany śmiech szatana. Serce Joasi było strwożone... Obejrzeni piece martenowskie, które wytwarzają stal, odlewana w kubkach na belki. Te „kolby“ wędrują stam-

ąd do walcowni, gdzie znów w czeluść pieca wrzucone zostaną i do białości się rozpalą.

W wielkich halach, wyłożonych żelaznymi płytami, wszystkie wrota stały otworem.

Przeciagi rwały wzdłuż i w poprzek, ochładzając czoła, plecy i ręce, które pali białe żelazo. Nie istnieją tam płuca chore, nie ma nerwów. Kto chory, ten umiera.

Jak ognista kula pędzi na ręcznym wózku przez halę biała belka. Nie widać ludzi, którzy ją dźwigają. Pada na ruszt, który się z posadzki wydobywa. Jest on, jak plecy o kilkunastu metrach długości, wyginające się zupełnie wzorem kręgosłupa i niby z kręgów, złożone z kół wydłużonych.

Czterej olbrzymi, czarni ludzie z jednej i czterej z drugiej strony walców, w siatkach na twarzy, dzierżąc w ręku długie obcęgi, ujmują belkę w swą władzę. Pchną ją mocno między szeroko rozdziawione walce dolne. Jak bryła masła stal się między nią wślizguje. Po tamtej stronie czeka na nią ruszt, który się z ziemi wysunął. Czyny ludzi są płynne, rytmiczne, prawie jak taniec.

Gdy biała płyta zgnieciona i wygięta, niby podpłytek, zjawia się przed nimi, ujmą ją wraz długimi rękoma swymi i popchną między cylindry górne.

Wypływa po drugiej stronie dwa razy cieńsza, gdzie czterej na nią czatują. Przystąpią pewnymi ruchy, jak maszyny z żelaza, raz — dwa — trzy — cztery.

Wyciągną długie ręce, zbrojne w żelazo, uderzą ją i odetną.

Zanurzą w wodzie szczypce rozpalone. Pochwyćą inne i, jak żołnierze, czekają

Wstęga białej blachy coraz dłuższa, niby pływająca smuga ognia, ukazuje się to w górze, to na dole, to tu, to tam. Pływa w powietrzu... Zdaje się uciekać z pośpiechem, jak gad bajeczny, ścigany przez złośliwe dzieci. Chowa się w szczeliny i męczy.

Ruszty szczękają i drżą. To się dźwigną do wysokości poziomu szczeliny między górnymi walcami, to się do niej najniżej zsuwają.

Wysoko, w milczeniu stoi nieruchomo człowiek, obracający kolbę, która ścisła walce.

Tuż obok latają po ziemi węże stalowe.

Biały ucinek sztaby płonącej, wprowadzony w ciasny otwór wybiega co chwila w przestrzeń, zmierzając do coraz węższych kryjówek. Tam stoją młodzi ludzie z krótkimi szczypcami, którzy chwytają pysk węża, gdy się wysuwa, i niosą go swobodnie na salę. Dopiero gdy ogon stuknąć zacznie po ziemi, kierują go do innej szczeliny. Drut pędzi z szaloną szybkością. Ogon, ginąc w otworze, trzepie się na lewo i prawo, jak żywy...

Ogłuszający huk...

Belka stalowa spada na kowadło.

Nieruchomy młot parowy zlatuje na nią, jak piorun razem prostym, niby uderzenie pięści. Zgnieciona kolba przybiera formę płaskiego kręgu, wtedy w środek jego wstawiają przyrząd, który ma wybić otwór, doskonale okrągły. Młot spada raz za razem, z wściekłą siłą. Dzwoni potężnym jękiem, który odbija się w halach, w powietrzu, w ziemi... Z hukiem rozlega się lwi ryk żelaza... Stęka w nim

gniew kopalni zwyciężonej przez silne ramię człowieka. Krąg z wybitym otworem jest kołem lokomotywy. Jako kupa żółtej gliny, z głębin wydobyta, ma teraz wzdłuż i w poprzek ziemi, do najdalszych zakątków nosić szczęście i rozpacz, przemoc i braterstwo, cnoty i zbrodnie.

Nim stanie na szynach, walczy z ujarzmicielem. Wyżera mu oczy, a twarz zalewa potem; płomieniami, którym je poddał, napełnia jego płuca i serce na ostre przeciągi wystawione. Szarpie mu nerwy w tej samej minucie, gdy młot parowy szarpie i rozbija jego cząsteczki...

Zdjęte z kowadła umieszczono na zakrzywionych widłach i w bok wysunięto. Przyszło doń dwu ludzi: jeden z ostrym młotkiem w rodzaju ciupagi tatrzańskiej, drugi z młotem na długim toporzysku. Ostrze siekiarki przystawiono do wystającego brzegu koła i młot spadać zaczął na ich obuch. Ani jeden cios nie chybił. Słychać było suchy szcęk żelaza o żelazo... Joasia doznała wrażenia, że to śpiew. Po wielkim huku organów w jakiejś katedrze daje się słyszeć śpiew, śpiew z tłumy, bojaźliwy, strwożony... Stygnące koło poszło dalej w swą drogę.

Stefan Żeromski
(z „Ludzi Bezdomych“)

PIEŚŃ ROBOTNIKA

*Praca nasza mocno śpiewa,
Tak, jak mocno rosną drzewa.*

*Bolą ręce, bolą nogi,
w oczach piecze żywy ogień,
w uszach szum, i gwizd, i zgrzyty! —
bicz z stalowych strun uwity!*

*Grzbiet się zgina raz po raz —
to mozołu czas.*

*Ale praca nasza śpiewa,
tak, jak wiosną rosną drzewa.*

*Jak kwitnącym jakimś rowem
samo życie w pracy płynie!*

*Nie wypowiem żadnym słowem,
tego, co wypowiem w czynie.*

*Tak powinno przecież być:
pracować — to żyć.*

*Trud roboczy mocno śpiewa,
tak, jak mocno rosną drzewa!*

Jan Wałęga.

PRAWDZIWA HISTORYJKA Z NIEPRAWDZIWEGO ZDARZENIA

W owej pięknej, mało jeszcze przez uczonych zbadanej, krainie bajki, w której zwierzęta, a nawet martwe przedmioty ludzkim przemawiają językiem, zdarzyło się razu pewnego, że spotkali się słoń, osioł i elektromotor. Owo spotkanie nie całkiem zresztą było przypadkowe, bowiem zarówno słoń, osioł, jak i elektromotor zatrudnieni byli w tym samym przedsiębiorstwie. Osioł, jak to zresztą często bywa u osłów, był właśnie w nieświełym humorze i skarżył się wielce na swoją smutną dolę.

— To rzeczywiście wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość! Tobie, słoni, dozorca daje codziennie dwadzieścia pięć razy tyle jedzenia, co mnie. Ja przecież również pracuję w pocie czoła od rana do wieczora i muszę się zadowolić dwudziestą piątą częścią pożywienia.

— Trudno, jesteś osłem, a ja jestem słoniem. Twoja mizerna praca tak cię nuży, jak mnie moje belki i tonowe ciężary, a ręczę ci, że wydajność mojej pracy dwudziestopięciokrotnie przewyższa wydajność twojej. Ja w ciągu godziny mogę wykonać to, nad czym ty męczylbyś się przez 25 godzin. Dwadzieścia pięć razy tyle wykonywam pracy, co ty, drogi osle, i dlatego dozorca dostarcza mi tyle pożywienia. Ale dajże już spokój z gadaniem, chcę spać i odpocząć, bo jutro czeka na mnie znów ciężka praca.

Słoń zatrąbił na pożegnanie i oddalił się majestatycznie od swego cienkonogiego towarzysza doli. Osioł nie przestał gderać.

— Gdybym ja był na miejscu dozorca, wolałbym zaangażować 25 osłów niż jednego napuszonego i gruboskórnego słonia. Tyle samo by pracowali i tyle by też spożywali.

— Wasz dozorca musiałby być osłem, żeby tak postąpić — odezwał się w tej chwili

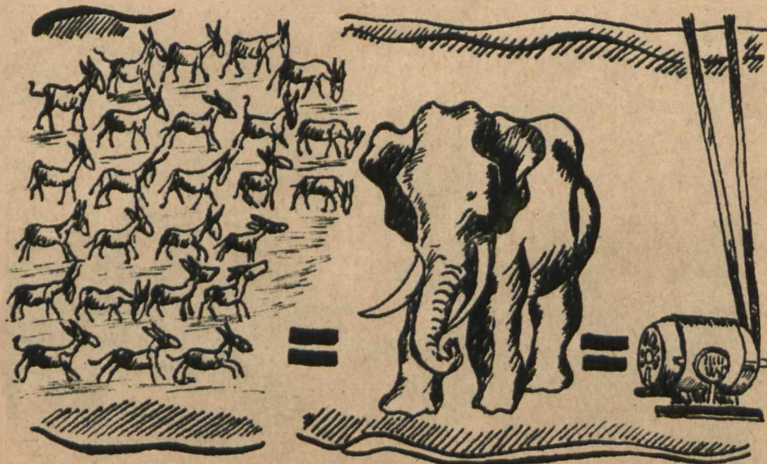
z kąta elektromotor, który przysłuchiwał się w milczeniu całej dyskusji. — Zastanów się. Przecież dla 25-ciu osłów trzeba by zbudować nową, wielką stajnię, kupić 25 żłobów, przeróżne naczynia. A przy pracy doprawdy nie wiem, ilu trzeba by dozorców, aby takie stado szaruchów skłonić do wydajnej roboty. Czy nie lepiej wobec tego korzystać z pracy jednego słonia, z natury chętnego do pracy?

— A ty, co tu masz do gadania, smarkaczu jeden! Przecież ciebie mógłbym swobodnie unieść na plecach. Pyszałek! — sapał poirytowany osioł.

— A tak, tak, wyobraź sobie, że nawet dumny jestem z powodu mojej małości. Słonia przecież nie mógłbyś w żadnym wypadku udźwignąć na swych wątych nóżkach. A jednak, wiedz, że z łatwością wykonuję tę samą pracę i w tym samym czasie, co twój olbrzymi przyjaciel. Czy więc słusznie nie jestem dumny?

— I-aa, i-aa!! To niemożliwe!

— Prawdę mówię i mogę ci na to dostarczyć dowodu. Tu, przeczytaj, jeśli potrafisz, widzisz? „5 kilowatów“! Taka jest moja siła, moja energia. Nie będę ci mówił o kilowatach, bo to nie zmieści się w twej osłej mózgowicy. Powiem ci tylko: 5 kilowatów oznacza, że w przeciągu jednej sekundy potrafię podnieść 500 kilogramów, czyli pół tony na wysokość jednego metra. Powąt-



piewam nawet, czy by stale słoń umiał pracować z takim natężeniem. A ty zaledwie 20 kilo potrafiłbyś unieść w ciągu sekundy na wysokość jednego metra.

— I-aa, i-aa, podziwiam, podziwiam pana, elek... elekmuterze! A czy pan też tyle jada dziennie, co i słoń?

— Ha, ha, ha! Widać, że lubisz dobrze zajadać, skoro pytasz od razu, ile pochłaniam pożywienia. Zapewne się zdziwisz, skoro ci oświadczę, że jadam jeszcze mniej, aniżeli ty, a w dodatku moje pożywienie jest całkiem innego rodzaju niż twoje. Po przewodach elektrycznych sływa ono do wnętrza mojego organizmu i całkowicie zamienia się na użyteczną pracę. Niemile woniejące produkty przemiany materii są u mnie rzeczą niemożliwą. Jestem istotą wyższego gatunku, istotą nieznającą tego rodzaju pożałowania godnych

błędów konstrukcyjnych organizmu. A w dodatku muszę ci powiedzieć, że jeżeli chodzi o was, osły i słonie, to doprawdy często niewiadomo, po co się wam daje pożywienie. Zanim zabierzecie się do roboty trzeba was najpierw dobrze nakarmić, to samo po pracy. W ogóle jecie ciągle, nawet wtedy, gdy odpoczywacie. U mnie nie ma takiej oszukańczej roboty. Akurat tyle wydaję z siebie pracy, ile pochłaniam energii w postaci prądu elektrycznego. A gdy nie pracuję, moja obecność nic człowieka nie kosztuje.

Niewiadomo jak długo perorowałby jeszcze elektromotor, gdyby nie okoliczność, że w tym czasie osioł zasnął smacznie. Zamilkł więc elektromotor, bowiem wiedział dobrze, że tylko wypoczęte osły i słonie mogą pożytecznie pracować.

b.

Przygotowujemy prezenty gwiazdkowe

Kołnierzyki

Aby wykonać te śliczne kołnierzyki, możecie użyć na nie kawałki jedwabiu, tiulu, koronki, batystu, płótna, piki itd. Najłatwiejszy do wykonania jest rysunek przedstawiony na rys. I.

Przykrawamy prosty pasek materiału długości 90 cm, szerokości 7—8 cm. Brzegi obrabiamy bardzo wąskim obrąbkim. Jeszcze ładniej wypadnie nasz kołnierzyk, jeżeli zrobimy w koło w odstępnie 1 cm mereżkę, którą później przecinamy, jak na rys. Ia. Wykończenie takie jest bardzo ładne, musicie tylko pamiętać wyciąć szerszy nieco pasek, aby mieć zapas na obcięcie.

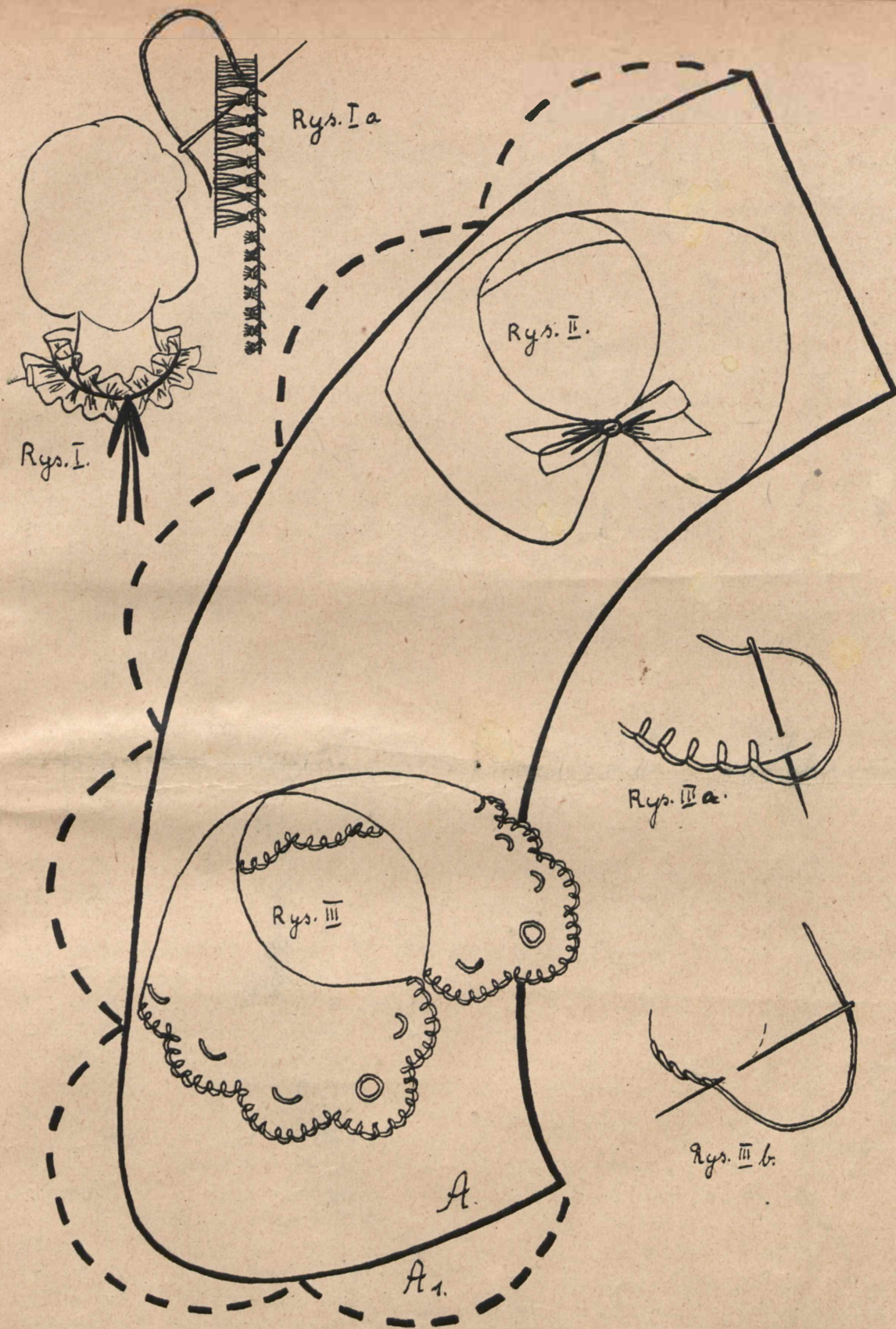
Gdy już pasek jest obrąbiony, przesywamy go dwa razy przez środek ścięciem zwykłym i ściągamy niteczki, aby uzyskać marszczenie. Długość zmarszczonego paska musi odpowiadać długości wycięcia szyi u sukienki, do której ma być noszony. Końce nitek marszczących kołnierzyk należy dobrze zakończyć. Na koniec w koło na marszczeniu przyczepiamy wąską aksamitkę, zostawiając po obu stronach końce na kokardkę i kołnierzyk gotów.

Kołnierzyk rys. II. wykrawa się według wzoru A, a kołnierzyk rys. III według konturu H₁.

Materiał składacie równo na połowę i nakładacie nań wyciętą z papieru formę A lub A₁, naddając w koło ½ cm na szew. Tak samo wycinacie podszewkę. Obie wycięte formy (wierzch i podszewkę) nakładacie na siebie prawymi stronami do wewnątrz, fastrygujecie zewnętrzny brzeg i przyszywacie równo bardzo drobnym ścięciem. Po zeszytciu odwracacie kołnierzyk na prawą stronę, zeszytacie brzeg raz jeszcze fastrygujecie i przepasowujecie kołnierzyk. Teraz ze skosu tego samego lub obcego, cienkiego materiału wykrawacie pasek szerokości 3 cm, a długości obwodu szyi. Pasek ten przyszywacie po prawej stronie do obu materiałów wkoło wykroju szyi. Drugą stronę listewki podwija się i przyszywa ścięciem krytym.

U kołnierzyka rys. III. trzeba jeszcze obdzierać zęby kolorową bawełną i wyszyć krążki ścięciem wodnym.

M. Rutkowska



Redaktor: dr Feliks Burdecki.

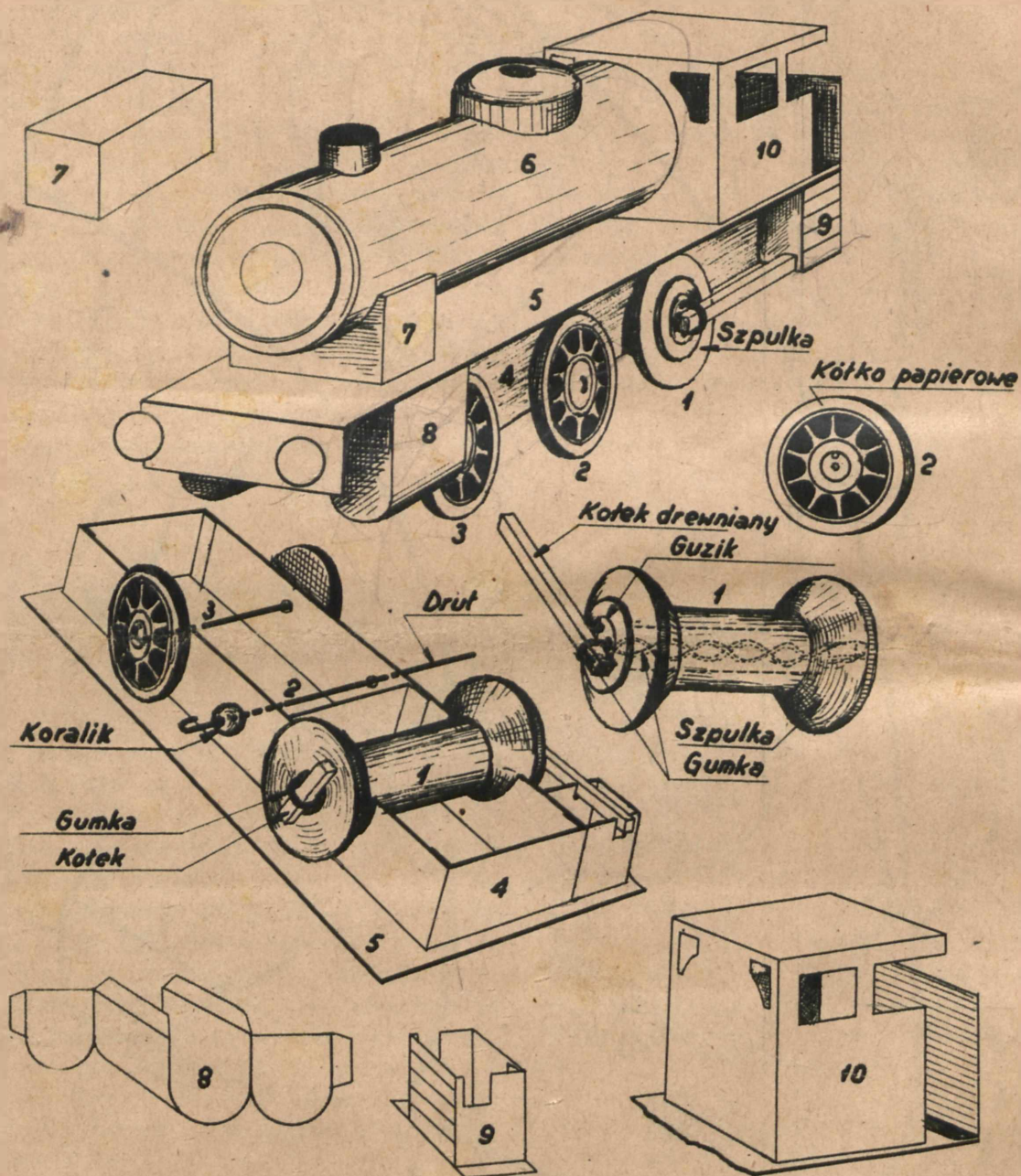
Adres Redakcji: Kraków, Poststr. 1. Redakcja „Steru“, tel. 2-23-68.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Uniwersitätsstr. 19 a. Administracja „Steru“.

Jeden nr. „Steru“ kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Abteilung Wissenschaft, Erziehung und Volksbildung in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.
Wydział Nauki, Wychowania i Oświaty Ludowej przy Rządzie Generalnego Gubernatora. Kraków.

Lokomotywa



Oto wspaniała, samobieżna lokomotywa.

Materiały potrzebne: papier gruby i sztywny (najlepiej karton), kawałek drutu, guziczek, szpulka od nici, gumka, dwa kołeczki i 4 koraliki.

Najpierw należy wyszukać szpulkę od nici; zależnie od jej wielkości będziemy dobierać wymiary wszystkich pozostałych części. Pracę rozpoczynamy od narysowania wszystkich papierowych części w odpowiednich wymiarach.

Szpulka z gumką, guzikiem i dwoma kołeczkami stanowi część poruszającą zabawkę. Gumkę nakre-

camy dłuższym kołeczkiem po uprzednim odjęciu całej szpulki od zabawki.

Cztery przednie koła wykonane są z kilku kółek z kartonu zlepionych razem dla powiększenia sztywności. Cztery koraliki służą dla uniknięcia tarcia między kółkami a ramą, oznaczoną na rysunku numerem 4. Dla szpulki musimy zrobić takie wycięcie w ramie, ażeby nie było tarcia. Cały ciężar (bardzo mały) lokomotywy powinien wspierać się na czterech przednich kółkach, nie zaś na szpulce. Ramę najlepiej wykonać z mocnej tektury.

H. H.